



Dianne Drake



***Lekarz
idealista***

Tytuł oryginału: A Boss Beyond Compare



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie możesz tak po prostu wyjść! - Walter Ridgeway podniósł się znad szczytu stołu konferencyjnego, przy którym kilka minut wcześniej dokonał fuzji dwóch małych firm medycznych, i podszedł do córki. - Jesteś mi potrzebna.

- Wcale tak po prostu nie wychodzę. - Susan westchnęła ze znużeniem.
- A tobie nie jestem tu potrzebna, tylko chcesz mnie tyranizować.

Ojciec istotnie był wymagający i przyzwyczajony do stawiania na swoim.

- A cóż w tym złego? Stanowimy zespół. Polegam na tobie.

Susan roześmiała się. Ojciec jest taki dobry w sztuce negocjacji, a teraz idzie mu fatalnie. Nigdy jednak nie dawał za wygraną i dlatego odnosił sukcesy.

- Tato, polegasz tylko na sobie. Ale masz rację, jesteśmy zespołem, a połowa zespołu właśnie potrzebuje urlopu.

Kiedy miała ostatnio prawdziwe wakacje? Dziewiętnaście lat temu? Liczyła sobie wtedy piętnaście lat i ojciec zabrał ją na narty do Szwajcarii. Jasne, że dla niego była to także podróż w interesach. Ten tydzień stanowił dla niej ostatni wakacyjny wyjazd, a teraz zasługuje na kolejny. I to od bardzo dawna.

- Doktor O'Brien powiedział, że jeżeli nie odpocznę, to zapisze mi coś na stres.

Ten sympatyczny osiemdziesięciolatek sprawował nad nią opiekę medyczną przez całe jej życie, chociaż lekarzem była i ona, i ojciec. Waltera to denerwowało, bo chociaż Ridgeway Medical zatrudniało najlepszych



specjalistów, Susan trzymała się kurczowo lekarza, który ją znał i któremu na niej zależało.

Emerytowany doktor O'Brien zapewniał jej ten rodzaj osobistego podejścia do pacjenta, którego nawet jako dyrektorka do spraw medycznych nie uzyskałaby we własnej firmie. Stary lekarz rodzinny działał na nią jak dwie pocieszycielki: ciepła kołderka i filiżanka gorącej herbaty.

- Biorę urlop na zlecenie lekarza - dodała.

- Kiedy zamkniemy ten kontrakt na Hawajach, będziesz mogła wyjechać, na ile zechcesz.

Ojciec jak zwykle wierzył w to, co mówił, ale potem bywało inaczej. W przeciwieństwie do niego nie potrafiła pracować w ciągłym napięciu, kiedy to nerwy miała napięte jak postronki. Dla niego zaś sytuacje stresowe to był żywioł, w którym czuł się jak ryba w wodzie.

- To samo mówiłeś po Atlancie i po Chicago. A na wakacje nie pojechałam. Tato, muszę odpocząć choć przez kilka dni.

Chciała coś przemyśleć i potrzebowała na to czasu. Walter stanął przed nią i skrzyżował ramiona. W wyrazie jego twarzy nie było rezygnacji, tylko złość.

- Nie jesteś niezastąpiona - ostrzegł ją.

Nie uda mu się. Ojciec to facet z osobowością, ale ona też nie da sobie w kaszę dmuchać.

- Jeżeli tak stawiasz sprawę - Susan obojętnie wzruszyła ramionami - to mnie wyrzuć.

Taka była od dawna dynamika ich stosunków. Ojciec musiał sprawować kontrolę i był przyzwyczajony do tego, że mu się to udaje. Dziś jednak się przeliczył.



Susan pocałowała go w policzek, a potem wyszła z gabinetu i z budynku, nie mając pojęcia, dokąd idzie i co będzie robić przez następne dziesięć dni.

Grant Makela znowu ją zobaczył. Przyszła na plażę po raz trzeci. O tej samej porze, w to samo miejsce, w tym samym śmiesznym kapeluszu. Zbieranie połamanych muszelek sprawiało jej najwidoczniej przyjemność. Przypominała dziecko, które znalazło skarb.

Poprzedniego ranka, z niezrozumiałych dla siebie powodów, kupił siatkę muszelek w pobliskim sklepie z pamiątkami i rozrzucił je obok miejsca, w którym ta kobieta siadywała, licząc na to, że tu wróci.

Pozbierała muszelki i schowała je do kieszeni. To osoba, którą cieszą rzeczy małe i której nic nie dziwi. Świadczyło to o jakiejś niewinności, która była dla niego szczególnie pociągająca. W tym momencie jego życia, kiedy tyle spraw się zawaliło, to było nawet miłe. I niech tak będzie choćby przez tych kilka porannych chwil.

Nawet o tym nie myśl, upomniał siebie, przygotowując się do złapania pierwszej fali tego dnia. Nie masz na to czasu...

Już chciał dodać, że ona go wcale nie pociąga, ale to byłaby nieprawda. Ochota w nim była, chociaż może nie tak silna jak kiedyś. Doktor Grant Makela zwrócił się w stronę fali, kopnięciem zrzucił sandały i wszedł do wody. Dzisiaj tylko trzy fale, a potem ma pacjentów.

Surfer zszedł z plaży jakąś godzinę temu, dźwigając deskę pod pachą. Susan też chciała już pójść, ale nakazała sobie zostać. Przecież jest na wywalczonych z trudem wakacjach.

Prosto z pracy pojechała na lotnisko i kupiła bilet na Hawaje, bo to było miejsce ich następnego spotkania biznesowego. Ale nadmiar wolnego czasu zaczynał jej już dokuczać.



- Poczytaj książkę, zdrzemnij się - rzekła do siebie półgłosem. - Popatrz na deskarzy. - Ale żaden z nich nie był tak dobrze zbudowany jak ten adonis, którego co rano podziwiała. Sama doskonałość, a ci... są tacy zwykli.

Kilku chłopaków biegnących do wody przyciągnęło na chwilę jej uwagę. Widać było, że świetnie się bawią. Młodzi, pewnie studenci z college'u, surfing, ładne dziewczyny, dużo alkoholu, mało snu. Szaleństwa młodości, pomyślała, podnosząc książkę i szukając strony, na której skończyła.

Szaleństwo-tego jej najbardziej brakowało. Dlatego miała taki mętlik w głowie i stąd pomysł wakacji. Musi się zastanowić, podjąć decyzje. Wróciła do książki, bardziej przyglądając się jej stronom, niż czytając, kiedy nagle coś w oddali przyciągnęło jej uwagę. Usłyszała krzyki, skądś nadbiegali ludzie.

Zerwała się na równe nogi, rzucając książkę na piasek, i ruszyła w stronę powiększającej się gromady.

Biegła, parząc stopy o gorący piasek. Przepchnęła się przez tłum i omal nie wpadła na leżącego na plecach chłopaka, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Miał włosy ostrzyżone na języka, na piersi wytatuowane postaci z kreskówek, i nie ruszał się. Jej druga natura zadziałała jak automat.

- Proszę zrobić miejsce! - zawołała, padając na kolana obok niego. - Jestem lekarzem.

Pod wpływem jej magicznych słów tłum się rozstał i uciszył.

Susan poszukała tętna, ale go nie wyczuła.

- Uderzyła go deska, nie widział jej! - ktoś zawołał. Brak oddechu.

- Poszedł pod wodę i nie wypłynął. Zanurkowałem po niego.



Sine wargi, bladość, źrenice niewrażliwe na światło. Czas na sztuczne oddychanie.

- Jak długo? - zapytała chłopaka.

- Słucham?

- Jak długo był pod wodą? Kiedy przestał oddychać?

- Nie oddycha?

- Kiedy? - krzyknęła.

- Nie wiem. Cztery czy pięć minut.

To granica życia i śmierci, którą tak łatwo przekroczyć, pomyślała, badając kark ofiary. Uraz od uderzenia deską może oznaczać uszkodzenie, a nawet złamanie kręgosłupa. Jeżeli tak się stało, to nie powinna go ruszać.

- Nie dłużej?

- Eee... nie wiem.

Skinęła głową, choć odpowiedź jej nie usatysfakcjonowała. Ale nie może tracić czasu.

Delikatnie zbadała po obu stronach szyję. Nie było ruchu powietrza ani reakcji na masaż mostka.

Czuła, że chłopak zsuwa się w otchłań śmierci, i nerwowo zaczerpnęła powietrza, by się uspokoić.

- Odwróćmy go - powiedziała, składając dłonie, aby unieruchomić kark.

Musi usunąć mu wodę z ust, zanim przystąpi do reanimacji. Ale potrzebna jest ostrożność na wypadek poważnego uszkodzenia kręgosłupa. Łatwo można doprowadzić do porażenia czterokończynowego.

- Nie filozofuj - szepnęła do siebie. - Nie ma czasu na myślenie.

Wskazała na trzech mężczyzn z tłumu.



- Pomóście mi położyć go na boku. Powoli. Na „trzy” odwróćcie go na lewy bok. Żadnych gwałtownych ruchów.

Chyba i tak nie żyje, a bez ruszenia go nie rozpocznie reanimacji. To zawsze stanowi dylemat - czy ryzykować dalszy, zapewne trwały uraz, aby uratować życie. Nigdy dotąd nie musiała podejmować takiej decyzji. Aż do tej chwili, kiedy podtrzymując w kołysce dłoni kark chłopaka, rozpaczliwie żałowała, że nie ma więcej doświadczenia w opiece nad pacjentami.

- Raz, dwa, trzy...

Mężczyźni odwrócili nieprzytomnego chłopca. Z jego ust wylał się spory strumień wody. Czasem zdarzało się, że powodowało to samoistne oddychanie. Ale nie zaczął krztusić się ani łapać powietrza, na co miała nadzieję. Poczwała, że ogarnia ją przerażenie.

- Dobrze, z powrotem. Raz, dwa, trzy...

Kiedy chłopak leżał znów na plecach, Susan poszukała tętna na szyi, potem w pachwinie. Nic. Zupełnie nic.

Uświadomiła sobie, że minęło dużo czasu. Zbyt długo był niedotleniony, ale wszystko się może zdarzyć, prawda? Czytała różne doniesienia medyczne, może jeszcze nie jest za późno. To niemożliwe...

Rozpoczęła masaż klatki piersiowej i przygotowywała się do procedury usta-usta, kiedy z tłumu wyłonił się jakiś człowiek, by jej pomóc. Przez kilka następnych minut pracowali razem.

To była przejmująca scena. Tłum się cofnął, a kilka osób, nie chcąc być świadkami rezultatu ich wysiłków, opuściło krąg gapiów. Nikt ze stojących obok nie wydał z siebie głosu, nikt się nie poruszył.

Susan chciała usłyszeć jakiś hałas, coś, co zagłuszyłoby ogarniającą ich martwą ciszę, bo z każdym oddechem, którym usiłował się podzielić mężczyzna wykonujący sztuczne oddychanie, z każdym uciskiem klatki



piersiowej, który nie powodował wznowienia pracy serca, jej optymizm się ulatniał.

Po pięciu minutach zaczął jej doskwierać ból i pieczenie w ramionach, a potem straciła czucie. Nie było żadnej reakcji.

On jest za młody, żeby umierać. Ktoś musi kochać tego chłopca... matka, ojciec. Dziewczyna snująca plany na wspólną przyszłość. Dla tych, którzy go kochają, nie może rezygnować. Reguły jednak znała. Dziesięć do piętnastu minut bez żadnej reakcji oznacza, że sprawa jest beznadziejna. W głębi serca była świadoma, że tego człowieka nie można przywrócić do życia. Był jej pierwszym pacjentem od wielu lat, i nie mogła go ocalić.

Ale jeszcze nie dawała za wygraną. Spojrzała błagalnie na swojego pomocnika, który usiłował znaleźć tętno, i nic z jego twarzy nie wyczytała. Może tak jak ona miał nadzieję, że przy kolejnym ucisku klatki piersiowej nastąpi cud. Boże, zmiłuj się!

- Nie rób tego! - wyszeptała, nie przerywając walki. - Nie umieraj. - Puste słowa, ale póki je wypowiada, jest jeszcze nadzieja. - Nie umieraj...

- Dość - odezwał się w końcu nieznajomy. Wyciągnął dłoń ponad ciałem i dotknął lekko jej ramienia. - Zrobiliśmy, co można. Już dość.

To ona podejmie decyzję, nie on!

- Zostaw mnie! - Poczowała dławienie w gardle i strząsnęła jego rękę.

- To już za długo. Nie uratujesz go.

- Idź do diabła! - warknęła, zbierając w sobie siły i kontynuując masaż.

Przygotowała się do przejęcia sztucznego oddychania, bo mężczyzna podniósł się, by odejść.

- Za długo był pod wodą. - Mężczyzna położył ręce na jej ramionach i chciał ją podnieść, ale wyszarpnęła się, uderzyła go i znów pochyliła się nad chłopcem. Łzy zalewały jej twarz, zaczęła szlochać.



- Wcale nie jest za późno! - krzyknęła, zmieniając pozycję, by podjąć masaż.

Tym razem jednak nieznajomy zdołał ją złapać i odciągnąć od nieruchomego ciała, a ktoś inny nakrył chłopca plażowym ręcznikiem. Susan wyrywała się i próbowała powrócić do ofiary, ale mężczyzna zamknął ją w uścisku swoich ramion.

- Dość - wyszeptał. - Żałuję, ale nie możesz już nic dla niego zrobić. Dalsza reanimacja nie ma sensu.

Wiedziała, że ma rację. I lekarz w niej też o tym wiedział. Nic już nie można zrobić. Ten chłopiec...

Wstrząsnął nią szloch tak głęboki, że osunęła się bezwładnie, wdzięczna mężczyźnie, że ją podtrzymał. Potrzebowała w tej chwili kogoś, na kim mogłaby się wesprzeć.

Oparła skroń o pierś nieznajomego i zamknęła oczy, wsłuchując się w rytm jego serca, czerpiąc pociechę z życia, które się w nim kłębiło.

- Próbowałam - powiedziała głucho, czując nagle, że popada w letarg. Nigdy w życiu nie czuła takiego znużenia. Jakby ktoś pogruchotał jej kości.

- Próbowałam go uratować. - Jej własny głos brzmiał jej w u-szach obco.

- Wiem. Ale to nie twoja wina.

Delikatnie gładził jej włosy, jak ktoś, kto się o nią troszczy. Wiedziała, że tak wcale nie jest. To ktoś nieznajomy, z plaży. Każdy by jej współczuł. Ale była mu wdzięczna za opiekę i pragnęła tę chwilę przedłużyć.

- Ktoś musi zawiadomić...

- Szszsz... Nie martw się. Zrobiłaś, co mogłaś. Łatwo mu mówić, bo to nie on zawiódł. Nie on



pozwoił temu chłopcu umrzeć. To ona zaczęła go ratować, i to jej się nie udało. Nie chciała już współczucia tego mężczyzny. Ani jego opiekuńczych ramion. Odepchnęła go.

- Dość lekko to przyjmujesz! - zaszlochała, wskazując ciało. - Na litość boską, on dopiero umarł! A ty się zachowujesz jak... - Wzięła głęboki oddech, by się opanować. - Muszę się skontaktować z miejscowym lekarzem i podpisać świadectwo zgonu, bo to ja... - Pozwoliłam mu umrzeć. Nie mogła powiedzieć tych słów na głos.

- Trzy przecznice stąd. W tę stronę. Biały budynek. Południowa strona ulicy. Nie można się pomylić.

Chciała mu podziękować za to, że podtrzymał ją na duchu, ale zniknął w tłumie. Po raz ostatni zerknęła na chłopca. Cokolwiek teraz nastąpi, oznacza to koniec jej wakacji.

ROZDZIAŁ DRUGI

- To ty! - Grant Makela uśmiechnął się do niej znad biurka. - Lepiej się czujesz?



- Co tu robisz?

- Mówiłaś, że musisz pójść do miejscowego lekarza w sprawie świadectwa zgonu, no więc jestem.

- Nie mogłeś mi tego powiedzieć na plaży?

- A słuchałabyś mnie? Byłaś bardzo wzburzona.

- Byłam? Nadal jestem.

Czuła potworne dławienie w gardle. Zaangażowała całą siłę woli do wyparcia ze świadomości wspomnień tej tragicznej sceny. Ale im bardziej próbowała o niej nie myśleć, tym mocniej wdzierała się w jej świadomość. Ucisk w gardle stawał się bolesny. A na myśl o tym, że ktoś, kto kochał tego chłopca, płacze teraz gorzko, na jej policzkach pojawiły się gorące łzy.

I musi to się dzieć w jego obecności?

- Czy mogę podpisać papiery i wrócić do hotelu?

- Nie prowadzisz chyba samochodu? Potrząsnęła głową i zagryzła usta.

- Może powinnaś chwilę odpocząć, uspokoić się.

- Dobrze się czuję. Jestem tylko trochę... poruszona.

- Nie - odrzekł cicho, głosem, którym uspokajał ją na plaży. To zdumiewające, jak szybko mu zaufała.

- Widzę, że nie czujesz się dobrze. A „poruszona” to mało powiedziane. Chciałbym, żebyś ochłoneła.

Był bardzo miły, jego troska wyglądała na szczerą, ale jej nie potrzebowała. Chciała zostać sama.

- Jestem lekarką. Wiem, co mi jest.

Doktor Makela posłał jej uśmiech pełen cierpliwości i współczucia.

- Widzę, że przechodzisz piekło. Ręce ci się trzęsą, w głowie ci się pewnie kręci, i coś w niej huczy. Teraz mnie nienawidzisz, bo chciałybyś zostać sama i wypłakać się, a przy mnie nie możesz. Mam rację?



- Papiery, doktorze. Podpiszę je i nie będzie pan musiał marnować czasu na diagnozowanie kogoś, kto wcale tego nie potrzebuje.

- Ależ pani tego potrzebuje, doktor... - Zawiesił na chwilę głos.

- Cantwell. Susan Cantwell.

Specjalizowała się w internie, miała też trochę doświadczenia w chirurgii. Wymagała tego funkcja dyrektora do spraw medycznych. Jej podwładnymi byli zarówno interniści, jak i chirurdzy. Ale tutaj przyznanie się do faktu, że jest lekarzem, stało się gorzką pigułką nie do przełknięcia.

- Przeżyłaś szok. Może na chwilę się położysz? Mam tu osobny pokój i może, kiedy odpoczniesz...

- Poza upokorzeniem, którego doznałam z powodu braku umiejętności medycznych, czuję się świetnie!

- odparowała. - Dziękuję za propozycję, ale nie mam ochoty ani na pomoc lekarską, ani na współczucie.

- Wcale się nie dziwię. Ale nie powinnaś teraz prowadzić, a jeżeli nie chcesz wrócić na plażę i tam odpocząć, zostaniesz tutaj. Nie dopełniłbym obowiązków, gdybym pozwolił ci odejść. - Prowokująco spojrzał jej w oczy.
- A tego nigdy nie robię.

Tym razem jego głos był bardziej stanowczy. Mocne słowa, choć uprzejme. Ujmujący wzrok przewiercał ją na wylot. Jasne, on ma rację. Ona nie może prowadzić i wie o tym. Ręce tak jej się trzęsły, że pewnie nie trafiłaby kluczykiem do stacyjki.

Coś podobnego! Jedna nieudana reanimacja, a ona przypomina strzęp człowieka. A kolega po fachu zastanawia się nad jej stabilnością uczuciową. Pewnie się dziwi, jak lekarz może rozsypać się tak jak ona. Przecież tam był, też reanimował tego chłopca, a teraz jest spokojny. Ale on pracuje z pacjentami, praktykuje medycynę w jej najczystszej formie, podczas gdy



ona wykonuje obowiązki administracyjne i od stażu nie widziała chorego, chyba że na szpitalnym korytarzu.

Zaprzagnęła zrehabilitować się w oczach tego człowieka. Nie chciała, by myślał o niej jak o nieudacznicy, chociaż w rzeczywistości tak się czuła.

- Właściwie to... nie praktykuję. Chyba dlatego tak mnie to poruszyło. Nie zajmuję się pacjentami, tylko zarządzaniem.

- Ja mam dużo do czynienia z chorymi, ale mimo to śmierć jest dla mnie zawsze przeżyciem. Szczególnie wtedy, gdy jest taka bezsensowna. Pani doktor, nie ma się czego wstydzić. I proszę się nie tłumaczyć. Uważam, że to lekarze, którzy tego tak nie przeżywają, winni są nam jakieś wyjaśnienie.

Obdarowała go wątlm uśmiechem.

- Może rzeczywiście powinnam się położyć, żeby się pozbierać. - Co prawda jej pierwszą reakcją była chęć ucieczki, teraz jednak ucieszyło ją jego współczucie. - Ale najpierw podpiszę akt zgonu.

- Ja też tam byłem. Jeżeli wolisz, sam to zrobię. Susan skinęła głową.

- Dziękuję. I przepraszam, że byłam taka... Podniósł dłoń, by jej przerwać.

- Nie masz za co przepraszać. Dobrze się spisałaś, Susan. Dzielnie walczyłaś, żeby go uratować. Masz prawo do swoich uczuć.

Może i ma do nich prawo, ale wcale jej z tym lepiej nie jest. Ale miło, że on ją wspiera. Bardzo miło.

Pokój, do którego Grant ją zaprowadził, był mały i skromnie urządzone. Łóżko, telewizor, telefon i niewiele więcej. Ale był czysty, a łóżko wygodne.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał, stając w progu.

- Może prochlorperazyne. Boli mnie żołądek.



- Zaraz ci przyślę. - Stał w drzwiach, jak gdyby nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Patrzyła na niego z rezerwą, czekając, aż wyjdzie, zadowolona jednocześnie z jego obecności. Mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Był znacznie wyższy, niż jej się wydawało. Barczysty, opalony, czarne włosy. Miał na sobie bermudy i luźną koszulę w kwiaty, typową dla mieszkańców tej wyspy. Wyglądał na tubylca.

- Jesteś lekarzem rodzinnym? Pochodzisz stąd? -zapytała, pragnąc z nim porozmawiać. Nie miała pojęcia dlaczego. Czy coś się jej w nim spodobało?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, jestem miejscowym lekarzem, tu się urodziłem i wychowałem. To ośrodek medycyny ogólnej, choć mamy tutaj mały oddział nagłych wypadków. Wyposażenie jest skromne. Poważniejsze przypadki odsyłamy do Honolulu.

- Jesteś właścicielem?

- Nie. Tylko tym zarządzam.

- Ale masz personel? Lekarzy, pielęgniarki? - zapytała, ledwo powstrzymując się od zażądania dokładniejszych informacji. Ale z niej dziś gadała!

- Nie, jestem tu jedynym lekarzem zatrudnionym w pełnym wymiarze, ale pracują u nas także specjaliści. Mamy personel potrzebny do prowadzenia kliniki z czterdziestoma łózkami - odparł lekko rozbawiony.

Już miała zapytać o wskaźnik obłożenia pacjentami, a potem o stopę zysku, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język, bo przypomniała sobie, że nie przyjechała tutaj po to, aby dokonać oceny opłacalności przejęcia tej



kliniki. Jest tymczasową pacjentką, a on jej tymczasowym lekarzem. To nie są interesy.

- Posłuchaj, na pewno masz pacjentów. Nie chcę cię zatrzymywać, więc poproś kogoś, żeby mi przyniósł tabletkę, a ja za godzinę się stąd wyniosę.

Pokazał w uśmiechu białe zęby.

- Możesz poczuć się zbyt oszołomiona, żeby prowadzić.

- Niekoniecznie. - Chciał być miły i doceniała to.

- Nie chcę blokować łóżka dłużej, niż to konieczne.

- Przeliczała swój pobyt na dolary, a jej licznik biznesmenki tykał tak szybko, że nie mogła nad nim zapanować. Powinna się nad tym zastanowić. Czy istotnie najważniejsze są pieniądze? A może istnieje jeszcze coś poza nimi? - To nieekonomiczne, tym bardziej że wcale nie jestem chora. Może ktoś inny będzie potrzebował...

- Jeżeli tak, to cię wyrzucę. Ale do tego czasu odpręż się. Chyba nie robisz tego zbyt często.

Nawet nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

- Obiecuję ci, że spróbuję, zgoda?

- Połóż głowę na poduszce i zamknij oczy.

- Widzę wtedy tego chłopca na plaży.

Grant wszedł do pokoju i przysiadł na szerokim parapecie.

- Jego kolega mówi, że Ryan Harris pił przez całą noc z przyjaciółmi.

Rano miał kaca, a może nawet był jeszcze pod wpływem alkoholu. Jego kompani to potwierdzili. Wątpię, czy był doświadczonym surferem, bo pochodził z Chicago. Nie mógł tam nabrać wprawy. A kiedy przyszła wysoka fala... - Grant westchnął, a jego twarz przeciął wyraz bólu. - To się zdarza. Przyjeżdża turysta na wakacje i myśli, że wystarczy deska i dobra



fala. Ludziom się wydaje, że wiedzą, co robią, przeceniają swoje możliwości i szarżują. Dodaj jeszcze do tego stan, w jakim się znajdował, i tragedia gotowa. Można by jej uniknąć, gdyby ludzie byli trochę mądrzejsi. Ale w Hawajach jest coś takiego, że w ludziach tępią się hamulce...

- Często zajmujesz się tragicznymi wypadkami? - Ciemna strona raję, pomyślała. Na twarzy Granta odmalowało się cierpienie.

Dosyć często. Jesteśmy jedyną kliniką w tej części wyspy, a ja jedynym lekarzem, który tu mieszka, więc zawsze mnie wzywają. Na plażę, do hoteli...

- Wzruszył z rezygnacją ramionami. - Większość moich interwencji medycznych kończy się znacznie lepiej. Na przykład poznaniem ciebie.

Susan starała się nie patrzeć na jego ujmujący uśmiech i zmysłowe usta, lecz nagle ją zamurowało. Ten facet ma dołeczki! I przepiękne oczy, czarne niczym onyks. Grant Makela to przystojniak. Więcej, to charyzmatyczny człowiek o zapierającej dech w piersiach urodzie, surowej i męskiej. Ma naturalny i swobodny sposób bycia.

Jej wzrok przesunął się na opalone łydki i zatrzymał na stopach. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu omal się nie roześmiała. Nigdy dotąd nie widziała lekarza na dyżurze w sandałach.

- Cieszę się, że mnie rozumiesz. Jestem tutaj turystką, nie lekarzem. - Muszelki, przedpołudnia na plaży. Trzy dni w raję, ale z tym już koniec.

Chyba nadszedł czas, by zadzwonić do ojca, przeprosić za to, że wyjechała i powrócić do pracy, do tego, w czym jest dobra. Bo na pewno nie w ratowaniu życia. Doktor Susan Cantwell potrafi zachować zdrowy rozsądek. Wie, jakie ma zalety, a nie należy do nich wylegiwanie się w łóżku i gadanie o byle czym, nawet z najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu widziała.



Spojrzała znowu na bose stopy Granta i zakręciło się jej w głowie.
Znużenie wywołane emocjonalną klęską.

- Masz teraz dyżur? - zapytała.

Gdyby był jednym z jej lekarzy, dostałby reprimendę, a może nawet stracił pracę za swój strój. I za eksponowanie gołych palców u nóg.

- Dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni, do usług - odparł, zeskakując z parapetu i nisko się kłaniając. - Tak jak mówiłem, kilku lekarzy pracuje tu na pół etatu, ale tylko ja mam pełen wymiar godzin.

- I pozwalają ci pracować w takim stroju? Spojrzał na siebie, jakby nieświadomy swego ubioru, a potem wzruszył ramionami.

- Hawajski styl sportowy. Tacy tu jesteśmy. Pacjenci nie narzekają. Wolą to niż tradycyjne białe koszule, eleganckie spodnie, biały fartuch. Co jest dobre dla pacjentów, jest dobre i dla mnie.

Jej też przydałoby się trochę luzu. Przynajmniej tu, na wyspie. Mogłaby tutaj zostać na jakiś czas i przyjrzeć się hawajskiej medycynie doktora Makeli. Próba reanimacji dostarczyła odpowiedzi na niektóre z jej pytań i przesądziła o decyzji. Miała ochotę porzucić pracę w biurze i zająć się pacjentami.

Czyste wariactwo.

- Posłuchaj, jestem ci wdzięczna za pomoc. Mówiłam wcześniej, że od dawna nie mam do czynienia z chorymi, i dlatego tak to na mnie podziało. Nie powinnam była... może komuś innemu... tobie... by się udało. Ale chciałabym ci podziękować. Przyślij kogoś z rachunkiem.

- Nie musisz za nic płacić. Zaproponowaliśmy ci tylko łóżko i tabletkę, którą zaraz dostaniesz, a to nic nie kosztuje.

Co to za klinika, która nie chce pieniędzy za usługi?



- Nie oczekuję dobroczynności, doktorze. Może nie praktykuję medycyny, ale jestem w stanie zapłacić za opiekę.

- Nie nazywamy tego dobroczynnością - odparł. - To usługa medyczna bez zobowiązań.

- Muszą istnieć zobowiązania. Zobowiązania przekładają się na pieniądze. Susan

nie miała nic przeciwko dobroczynności i była przygotowana na takie sytuacje. Ale medycyna powinna przynosić zysk, aby działać na taką skalę jak Ridge-way Medical. Mieli już blisko sto obiektów medycznych, a otwarcie kliniki na Hawajach pozwoli im przekroczyć tę magiczną liczbę.

- Jak można funkcjonować, nie licząc na to, że pacjenci płacą?

- Wielu pacjentów płaci, niektórzy są ubezpieczeni. W zasadzie nasze potrzeby są niewielkie, a ludzie na tyle hojni, na ile mogą. Ale czasami nie chodzi o pieniądze i rozliczamy się w innej formie. Leczymy zwykle zapalenie zatok za dobre ostrzyżenie włosów, jeżeli pacjenta na to tylko stać. Jako administrator nie jesteś do tego przyzwyczajona, ale wczoraj potrzebowałem fryzjera, więc dobrze się złożyło.

- Wiesz, że to koszmar każdej firmy medycznej? Opadła z powrotem na poduszkę. Powiedziała to

jak prawdziwy menedżer, którym w końcu jest. Ostateczny wynik finansowy, skala zysku - to jej codzienna terminologia medyczna, a dobre fryzjerstwo nie ma z nią nic wspólnego. Potrzebują pieniędzy, by zarządzać klinikami, wypłacać wynagrodzenia, stosować leki i wykonywać operacje. Tego nie można zapewnić za dobre strzyżenie, ale sposób myślenia Granta nie był jej zupełnie obcy. Nie mogła tylko go podzielać ani zastosować w klinikach czy szpitalach.



- Rzeczywiście, to może być koszmar dla firmy, ale nie dla pacjenta.

Tak się powinno praktykować medycynę, a już się tego nie robi.

Ciekawy człowiek. Idealista.

- A co na to właściciel kliniki?

- Nie jestem pewien - przyznał Grant. - Wiesz co, pójdę po te tabletki.

Potrzebujesz odpoczynku, a ja mam pacjenta. Zobaczymy się, jak się prześpisz.

Pół godziny później, gdy lek już zadziałał, Susan zaniknęła oczy i z obrazem adonisa pod powiekami zapadła w sen. A gdzieś na granicy jawy i snu sylwetka tego adonisa upodobniła się do doktora Makeli.

ROZDZIAŁ TRZECI

To był bardzo długi dzień, i do tego niezbyt szczęśliwy. Cokolwiek dobrego wydarzyło się później, w obliczu śmierci traciło swój walor. Chociaż to nie on przyczynił się do śmierci chłopca, jego strata napełniała go uczuciem potwornego zmęczenia.



Przywlókł się do domu, maleńkiej chatki usadowionej u boku kliniki, zrzucił sandały, a potem padł na łóżko.

- Zadzwoń za godzinę - polecił pielęgniarce, wychodząc, chociaż wątpił, czy zaśnie.

Wspomnienie śmierci Harrisa było jeszcze świeże. Tak jak widok bólu w oczach Susan Cantwell.

Brak snu mu nie przeszkadzał. Potrzeby miał minimalne. Złapać dobrą falę raz czy dwa razy dziennie, mieć niezłą deskę oraz kilka tygodni w roku pracować na rzecz Projektu Uśmiechnięta Twarz - z grupą lekarzy wolontariuszy wykonujących operacje plastyczne u dzieci żyjących tam, gdzie takie zabiegi są niedostępne.

Jeszcze rok temu myślał, że Alana będzie częścią takiego życia, ale się pomylił. Cholera, i to jak! Tak bardzo, że przysiągł sobie w najbliższej przyszłości nie mieć nic wspólnego z kobietami. Była piękna, zaokrąglona we właściwych miejscach, i miała cel w życiu. Ale to nie był jego cel. A do tego wygórowane potrzeby.

Wytrzymał rok, a potem był zadowolony, że został sam. Mimo to pozostał w nim jakiś cierń.

Próbując zapomnieć o Alanie, pomyślał o Susan Cantwell. Odważna, śmiała.

Kekoa. Takie byłoby jej hawajskie imię, chociaż z pewnością tak się teraz nie czuła.

Przez kilka ostatnich poranków z przyjemnością na nią patrzył. Nie przypuszczał, że może być lekarką. I to dobrą, sądząc po wysiłku, jaki włożyła w ratowanie Harrisa, nawet wtedy, kiedy kres stał się oczywisty. Jej poświęcenie przekroczyło granicę wyznaczoną przez obowiązek. I świadczyło o rzadko spotykanej pasji.



On też przeżył tutaj wiele przypadków śmierci, i każdy wstrząsnął nim do głębi. Niektóre były wynikiem katastrofy, inne miały przyczynę naturalną. Wiedział, jak się czuła - znał tę pustkę, uczucie straty, przekonanie, że nie było się wystarczająco dobrym.

Z jakim zapałem zabrała się do reanimacji! *Kekoa*. Szkoda, że będzie tu za krótko, żeby mógł ją o tym przekonać. Widać na odległość, że prowadzi zbyt skomplikowane życie. Jej umysł pracuje szybciej, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało. Patrząc na jej oczy, zauważył, że spogląda jednocześnie gdzieś w przestrzeń na coś, co wymaga jej niepodzielnej uwagi.

Kiedy się poczuje lepiej, odejdzie. Wróci do życia pełnego stresu. Tacy jak ona ciągle tu przyjeżdżają - by się zrelaksować, oderwać od napięcia i zwolnić tempo. Przez pięćdziesiąt tygodni w roku prowadzą wyniszczający tryb życia, a potem dwa tygodnie hawajskiego odpoczynku ma ich zregenerować.

Widział codziennie ludzi leżących na plaży z komórką w jednej ręce i lekami antystresowymi w drugiej. Uważali, że odpoczywają. Uciekli od swojego życia, ale nie do końca.

Podobnie było z Susan, przynajmniej takie odniósł wrażenie. Przyglądał się, jak walczyła przez trzy dni z kapeluszem przeciwsłonecznym i tłumiała w sobie ochotę na coś więcej niż wakacje, jakie dla siebie zaplanowała. Nawet z daleka było oczywiste, że wylegiwanie się na plaży nie jest w jej stylu. Szkoda, bo potrzebowała odprężenia bardziej niż ktokolwiek inny. Nie wróci na plażę, nie będzie walczyć z tym okropnym kapeluszem. I chyba nie pomylił się, sądząc, że Susan już myśli o powrocie do tego, przed czym uciekała.



Dziś przegapił tę część poranka, kiedy obserwowała go z daleka, podczas gdy on przyglądał się jej. To było głupie, więc może i dobrze, że się skończyło. Przyzwyczajenie się do Susan w jakikolwiek sposób byłoby błędem. Przywiązanie do każdej kobiety jest błędem. Ile go kosztowała ostatnia kobieta w jego życiu!

Głupie czy nie, Grant przysnął, zastanawiając się, jak by to było pracować z Susan, gdyby na kilka dni zdołał ją zatrzymać w Kahawaii.

Rano, w co trudno było jej uwierzyć, poczuła się wypoczęta, chociaż spędziła noc w niewygodnym szpitalnym łóżku. Zacisnęła powieki, chcąc uniknąć ostrego światła wdzierającego się przez okno. Nie chciała niczego widzieć. Ani obserwować plażowiczów pływających, odpoczywających, zbierających muszelki czy grających w piłkę...

Żaden odpoczynek nie pozwoli jej wrócić do tego świata, więc nie będzie patrzeć. Co z oczu, to z głowy. Zdumiewające. Obawiała się ujrzeć w myślach twarz chłopca, ale miała przed oczami oblicze Granta Make-li, tak wyraźną, jakby stał tuż obok.

Szokujące. Dlaczego właśnie on?

Dlatego, że był dla mnie miły. Jakże łatwo znalazła rozsądne wytłumaczenie. Dlatego, że jest jej lekarzem, a ludzie przywiązują się do swoich lekarzy. Dlatego, że jest pierwszą osobą, którą na Hawajach poznała bliżej. Miała już całą listę powodów, ale przecież wcale nie jest nim zainteresowana. Może na odległość, i nie ma w tym nic osobistego. Krótkie, ale jakże bezbarwne małżeństwo, dało jej nauczki.

Wtedy sądziła, że podejmuje właściwą decyzję. Zbliżała się do trzydziestki, zegar biologiczny tykał, więc powiedziała miłemu facetowi sakramentalne „tak”. Dość przystojny, odniósł spory sukces, był zamożny.



Ale jego osobowość przypominała kluchowatą owsiankę, i jedynie te kluchy były w niej interesujące.

Wytrzymała sześć długich miesięcy nudy z Ronaldem Cantwellem, zanim doszli do wspólnego wniosku, że do siebie nie pasują. Na początku wydawało się jej, że to dobry pomysł, bo w Ronaldzie nie było nic odstręczającego. Dopiero patrząc wstecz, zrozumiała, dlaczego popełniła błąd - dlatego mianowicie, że postanowiła spędzić resztę życia z mężczyzną, w którym nie była zakochana.

Teraz traktowała to jako jedno z małych potknięć życiowych. Ich drogi się rozeszły, rozwiedli się w przyjaźni i na pamiątkę swojego krótkiego szaleństwa zachowała po nim nazwisko.

Praca pod nazwiskiem ojca niosła ze sobą pewne niedogodności. Wszyscy uważali, że jaki ojciec, taka córka. A ona była inna. Pod każdym względem. Trzymała się nazwiska byłego męża, obiecując sobie, że kiedy znowu stanie na ślubnym kobiercu... Ale następnego razu nie będzie, więc obietnica wybrania sobie mężczyzny, w obecności którego jej puls przyspieszy, a serce zabije mocniej, jest bez znaczenia. Nie będzie nikogo. Ani szybszego pulsu, ani bicia serca.

Przeciągnęła się i w końcu uległa magii słońca kuszącego ją, by wyjrzała na zewnątrz. Otworzyła oczy. Za oknem ludzie szybko szli przed siebie, jakby dążąc do określonego celu. A może tylko to chciała zobaczyć, bo jej własne poczucie celu wyraźnie ją opuściło.

- Co powinnam zrobić z życiem? - wyszeptała, odwracając wzrok.

Ojciec poświęcił całe lata na przygotowanie Susan do przejęcia korporacji. To wszystko dla ciebie, mówił. Przez większość jej życia byli tylko we dwoje - matka zmarła, kiedy Susan była jeszcze małą dziewczynką.



Susan dzieliła z ojcem zainteresowania, zastępowała go w pracy, i ten stan rzeczy przez długi czas ją zadowalał.

Ale od czasu rozwodu stała się... niespokojna. Niezadowolona. Bez żadnego konkretnego powodu, wzięwszy pod uwagę jej styl życia i możliwości. I stąd się wziął pomysł tych wakacji. Zapragnęła odzyskać dawne samopoczucie, od nowa być w stanie poświęcić się temu, w czym była najlepsza.

Do licha, nie znosiła ckliwości, która coraz częściej ją nachodziła, zakłócając normalny tok myślenia. Zawsze była taka zdecydowana, ale ostatnio...

- *Aloha kakahiaka!* - usłyszała spod drzwi radosny głos, rozwiewający ponury nastrój, który zaczynał ją ogarniać. - Dzień dobry. Nazywam się Laka.

Susan uśmiechnęła się na widok młodej kobiety o promiennej twarzy. Było oczywiste, że jest Hawajką, bo miała długie czarne włosy i uśmiech, który rozświetlił cały pokój. Kobieta podплыnęła do łóżka z gracją łagodnej fali oceanu.

- Doktor Etana mówił, że pewnie chciałaby pani zjeść przed wyjściem śniadanie, więc przyszedłam zapytać, co pani zamawia.

- Co zamawiam? - Jak w hotelu? Szpitale i kliniki korporacji Ridgeway zapewniają różne wygody, ale śniadań się w nich nie zamawia.

Laka skinęła głową.

- Możemy przygotować prawie wszystko, czego pani sobie życzy, ale proponuję *pa 'i palaoa hala kahiki*.

Nie wystawiają rachunku, ale podają śniadanie na zamówienie? Coraz bardziej się jej tu podoba.



- *Pa'i pala...* - Potrząsnęła głową. - Nie potrafię tego wymówić, ale jeżeli to pani poleca, to poproszę - odpowiedziała wesoło, zdziwiona, że taka mała rzecz poprawiła jej humor.

- To jest ciasto ananasowe - wyjaśniła Laka. - Według przepisu matki doktora Etany.

- Kto to jest? Nie znam go. Laka wyglądała na zdziwioną.

- To doktor Makela. Ma na imię Etana i tak się do niego zwracamy.

Jedno imię dla tubylców, drugie dla obcych? Przez chwilę Susan zastanawiała się, czy Grant, albo Etana, prowadzi podwójne życie, trochę tak jak ona. Susan Ridgeway i Susan Cantwell.

- Czy dziś tu jest? - zapytała, starając się, by zabrzmiało to swobodnie.

- Nie przychodzi tak wcześnie. Ma swoje poranne zajęcia, ale niedługo się pojawi. Jeżeli chce pani zobaczyć innego lekarza, to jest u nas dzisiaj doktor Anai z Honolulu. Czy mam go poprosić?

Susan potrząsnęła głową.

- Nie, nie trzeba.

Poczuła się lekko rozczarowana. Chciała ujrzeć Granta Makełę, zanim opuści klinikę, podziękować mu i... właściwie to nie wiedziała, co jeszcze. Wygląda na to, że jej się nie uda. Może to i lepiej, bo czuje się dobrze i nie ma żadnego powodu...

- Czy chciałaby pani zjeść śniadanie na *lanai*? Stamtąd jest piękny widok na ocean. I ogrody.

Woda. Jeszcze jedna z jej fantazji - surfer wyglądający jak adonis. Sprawy chyba zaszły już za daleko, bo zaczyna go jej brakować. Znajdź się w raju, a zaraz zapomnisz o wszystkich swoich zahamowaniach. A przynajmniej w jej przypadku tak się stało. Natychmiast musi przestać o tym myśleć.



- Bardzo chętnie - odparła, próbując uodpornić się na wszystkie kaprysy i zachcianki.

Jeszcze jeden objaw przemęczenia. Prawdziwy powód, dla którego potrzebne jej były wakacje.

- Pani ubranie jest w szafie - przypomniała Laka, wychodząc.

Kostium kąpielowy i obszerna koszula. Niezbyt wytworny strój do śniadania, ale spłowiła szpitalna koszula też nie jest idealna.

- A nie ma pani pod ręką uniformu szpitalnego? - spytała Susan, zanim pielęgniarka wyszła.

- Mam, ale nikt tego tutaj nie nosi.

Susan już to zdążyła zauważyć. Nawet siostry nosiły sukienki w hawajskie wzory.

- Gdyby pani mogła mi taki znaleźć...

Dziesięć minut później Susan usadowiła się w białym bambusowym fotelu i z zadowoleniem wdychała świeże powietrze. W domu nie miała czasu na taki relaks. Jej obcowanie z naturą ograniczało się do minuty czy dwóch, w drodze z samochodu do budynku i z powrotem. Tak więc każda chwila spędzona na łonie natury była dla niej gratką.

- Cudownie - rzekła do Laki, pijąc ze szklanki sok z ananasa i pozwalając sobie na zupełne odprężenie.

- I w tym się właśnie specjalizujemy.

Susan usłyszała za sobą głos Granta, bo Laka zdążyła już wyjść. Poczowała lekki dreszczyk, a na jej usta zabłakał się uśmiezek.

- Szkoda, że muszę wrócić do pracy. - Nie chciała, by zauważył, że drży, a na jej ramionach pojawia się gęsia skórka.

- Na ładzie? - Grant wyszedł zza krzewu hibiskusa i stanął obok stolika. Właśnie wyszedł spod prysznic. Mokre włosy błyszcząły w słońcu,



a rozpięta koszula ukazywała tors, na którym perliły się jeszcze kropelki wody. Susan przyłapała się na tym, że wpatruje się w niego, więc przeniosła wzrok na szklankę z sokiem, trzymając ją oburącz, by się uspokoić.

- Na kilka tygodni pojedę do Honolulu. W interesach. Chyba zrobię to od razu, zrezygnuję z reszty wakacji. Moje wakacje nie mają już sensu. - To prawda. Nie miała już ochoty na wypoczynek.

- Mówiłaś, że administrujesz... kliniką czy praktyką medyczną?

- Pracuję w Dallas, dla firmy, która wykupuje upadające instytucje medyczne i stawia je na nogi. Zajmuję się sprawami medycznymi, ale od strony administracyjnej.

- Czy to nie jest przypadkiem Ridgeway Medical? - zapytał ostro, a na jego twarzy pojawił się gniew.

Spojrzała na niego i zauważyła zwiastujące zmianę nastroju zmarszczone brwi.

- Słyszałeś o nas?

- Czy o was słyszałem? Nic innego nie robię od sześciu tygodni, tylko myślę o was z nienawiścią. Moje życie stało się piekłem od chwili, kiedy o was usłyszałem. - Jego słowa były pełne emocji, chociaż panował nad głosem i zachowywał spokój.

Zdumiała ją jego reakcja. Kliniki Kahawaii nie ma na liście bieżących przejęć. O co więc tu chodzi?

- Dlaczego? W czym zawiniliśmy? - zapytała, starając się stłumić wzbierającą złość.

- Poza tym, że chcecie wykupić klinikę, która miała być moja? I wszystko tu zmienić?



- Nie mamy takiego zamiaru! Owszem, jesteśmy w trakcie rozmów z kliniką na Oahu i wiem, jakim nieruchomościom się przyglądamy, ale to nie jest jedna z nich.

- Nieprawda! Pani Kahawaii mówiła mi, że ma nadzieję w ciągu kilku następnych tygodni podpisać z Ridgeway Medical kontrakt, jeżeli do tego czasu nie wystąpię z własną ofertą.

- Klinika Kahawaii? - spytała Susan, wyraźnie zaskoczona.

- Oficjalna nazwa brzmi Hawajska Klinika Północnego Wybrzeża, ale kiedy jej założyciel zmarł, nieoficjalnie nazwano ją jego imieniem.

Ta nazwa już coś jej mówiła. Susan natychmiast przeszła do defensywy.

- A cóż jest złego w Ridgeway Medical? Podnosimy jakość usług medycznych tam, gdzie nie jest ona zadowalająca. Mamy doskonałe standardy. Utrzymujemy szpitale, które by upadły, pozbawiając lokalną społeczność opieki medycznej, i wyposażamy małe przychodnie w najlepszy sprzęt medyczny, jaki istnieje na rynku.

- Wymuszacie na małych ośrodkach zmiany, które zupełnie do nich nie pasują. Nie zwracacie uwagi na zwyczaje ludzi, na to, czego potrzebują, czego chcą, co zaakceptują. Wasi lekarze w izbie przyjęć nie przyjmą honorarium w postaci usługi od pacjenta, który nie ma pieniędzy, a nie chce korzystać z dobroczynności. Wątpię też, czy któryś z waszych pacjentów kocha jakiś wasz szpital tak, że zaproponuje pomalowanie fasady z czystej dumy z tego miejsca, tak jak zrobili to w zeszłym roku nasi pacjenci. Zajmujecie się medycyną instytucjonalną, a my medycyną dla ludzi. W Ridgeway to jest właśnie złe.

Nie mogła się bronić, ponieważ on ma rację, choć nie rozumie, że korporacja działa w sposób najlepszy dla większości pacjentów. Ludzie



często opierają się zmianom, bo to, co ona robi wraz z ojcem, wywraca do góry nogami życie wielu osób. Nie była zachwycona tym, że działają destrukcyjnie na takich ludzi jak Grant, którzy poświęcali się dla ideałów, aby potem im wydrzeć wszystko, w co wierzyli.

- Byłeś w którejś z naszych klinik? Jeżeli nie, to zapraszam...

- Chcesz mnie przekabacić? - przerwał. - Pokazać porządną klinikę podlegającą wielkiej korporacji i powiedzieć mi, że to wszystko może być moje, jeżeli tylko zmienię nastawienie?

Podobała jej się klinika Granta i dostrzegła zalety zachowania obecnego stanu rzeczy. Kiedy wkroczy tu Ridgeway Medical, zmiany będą nieuchronne, co napawało ją smutkiem, bo gdyby miała być uczciwa, to sama chciałaby pracować w takim miejscu jak Kahawaii. Niezadowolenie, jakie ostatnio odczuwała, spowodowane było częściowo tym, że zapragnęła kontaktu z medycyną w sposób, na jaki nie pozwalał charakter jej pracy, a tutaj stałoby się to takie łatwe.

Grant ma rację. Kahawaii by się zmieniło.

Spojrzała na jego stopy. Musiałby zacząć nosić normalne obuwie szpitalne. Żadnych sandałów.

- Grant, posłuchaj. Wiem, że nie będzie to dla ciebie łatwe. Ale dla nas, dla Ridgeway Medical, też jest miejsce. Małe prywatne szpitale i kliniki walczą z większymi z wielu powodów, i niestety są to najczęściej powody biznesowe. Mogą zapewniać doskonałą opiekę, zatrudniać personel o wysokich kwalifikacjach i nieposzlakowanej reputacji, ale jeżeli nie stać ich na zakup najnowszego rezonansu magnetycznego, to pacjenci pójdą gdzie indziej, i w końcu wpłynie to na ostateczny wynik finansowy. Jeżeli raz odejdą, już nie wrócą. Jest im wygodniej, kiedy ich potrzeby są zaspokajane w jednym miejscu, i dlatego Ridgeway Medical odgrywa taką ważną rolę.



Możemy utrzymać pacjenta w mniejszej placówce i zaoferować mu wszystko, czego potrzebuje. W Indianie, na przykład, mamy trzy małe szpitale. Żaden z nich nie mógłby sobie pozwolić na aparat do rezonansu z powodu małej liczby pacjentów. Kiedy je przejęliśmy, wszystkie trzy miały trudności i pierwsze, co zrobiliśmy, to kupiliśmy przenośną aparaturę do rezonansu magnetycznego. Jeździ teraz od szpitala do szpitala. Nie tracimy pacjentów, a oni mogą pozostać w miejscu, które sobie wybrali, ponieważ połączyliśmy środki. Pacjenci chcą, aby ich leczenie przebiegało w sposób zindywidualizowany i wygodny, ale musi za tym stać duży i wymagający wsparcia finansowego biznes.

- Cytujesz broszurę firmową? - rzucił ostro. - Tak to zabrzmiało. Znakomicie przyswoiłaś sobie korporacyjny żargon. Dobra gadka dla kogoś, kto chce sprzedać, ale nie dla mnie!

Podczas oficjalnej prezentacji byłby to właściwy moment, by uciec się do pomocy multimediiów - pokazać wykresy, tabele, jakiś filmik, referencje. Grant znów ma rację. Świetnie opanowała żargon oraz procedury, i to jest jeszcze jeden powód jej wątpliwości co do swojej przyszłości w firmie, bo bardzo już się czuła zmęczona bezosobowością takiego podejścia.

- Nie wiem, co mogłabym jeszcze powiedzieć, żeby cię uspokoić. Nikt nie lubi radykalnych zmian i rozumiem, że...

- Czyżby? Naprawdę rozumiesz, że istnieje coś więcej niż żargon? Czy kiedykolwiek byłaś narażona na radykalną zmianę? A w przypadku Kahawaii, pomyślałaś o pacjentach? Spójrz! - Wskazał jej ogrody zaczynające się tuż za *lanai*, gdzie Laka spacerowała z jakąś starszą kobietą. Kobieta zupełnie nieźle sobie radziła, poruszając się przy pomocy balkonika. - To Pearl. Implant kości biodrowej. Osiemdziesiąt dziewięć lat. Dałaby sobie radę w jednej z waszych klinik?



- Zapewniamy rehabilitację...

- Mieszka w domu, gdzie jest szczęśliwa, a nie w centrum rehabilitacji.

Laka, lub ktoś inny z pracowników, odwiedza ją dwa razy dziennie, aby pomóc jej pospacerować. Przysyłamy jej posiłki. Potrzeba jej tylko trochę pomocy i zapewniam cię, że gdybyśmy odesłali ją do takiego centrum, to dałaby za wygraną i umarła. Dla niej to, że może zostać u siebie, jest najważniejsze. Dla nas też jest ważne, że kiedy mamy dzieci na oddziale pediatrycznym, Pearl przychodzi i czyta im książeczki, spędza z nimi czas, przytula je i śpiewa im, kiedy nie ma rodziców. Założę się, że tego kliniki Ridgeway nie zapewniają.

Jego głos złagodniał, miejsce gniewu zajęła duma - bo miał być z czego dumny. A może to miłość? Grant kocha tę klinikę i z pasją oddaje się temu rodzajowi medycyny, który tu praktykowano. Susan przez chwilę obserwowała jeszcze, jak Pearl wędruje powoli ścieżką, a potem przeniosła wzrok na Granta.

- Nie, i jest mi z tego powodu przykro. Byłoby świetnie, gdybyśmy też mogli robić coś takiego, ale prawda jest taka, że kiedy w grę wchodzi setka placówek, to nie można pracować w ten sposób.

- Chcesz powiedzieć, że pojedynczy pacjent się nie liczy.

- Nie, zawsze się liczy i dlatego działamy tak, jak działamy. Robimy wszystko, żeby zapewnić jak najlepszą opiekę każdemu, kto przekroczy nasze progi. Miło jest mieć sytuację idealną.

Susan wstała. Pora iść. Nie czuła się dobrze z tym, co miało się wydarzyć w tej małej klinice, ale nie od niej to zależy. To nie Grant ją sprzedaje, i jeżeli nie ona i jej ojciec, to kupi ją ktoś inny. Sądząc po niezwykle pięknym położeniu, może to być firma niekoniecznie związana z medycyną. Miejsce jest znakomite na luksusowy ośrodek wypoczynkowy



czy drogie apartamenty. Zastanawiała się, czy Grant spodziewa się tego, co nastąpi. Przecież to takie oczywiste...

Teren tak piękny należy do rzadkości i jeśli Ridgeway nie podpisze kontraktu... Nawet nie chciała o tym myśleć.

- Życzę ci powodzenia. Przykro mi, że nie dzieje się tak, jak byś pragnął, ale to nie ja podejmuję decyzje.

- Nie wyglądasz na ten typ.

- Jaki typ? - najeżyła się.

- Korporacyjny.

- A jak on wygląda?

- Nie tak jak ty. Na plaży, kiedy ten chłopiec utonął, tak się tym przejęłaś...

- Nie jestem pozbawiona uczuć. Tak jak ty studiowałam medycynę, odbyłam stosowne praktyki, nauczyłam się tych samych procedur, miałam do czynienia z takimi samymi pacjentami. I chociaż nie godzisz się z niczym, co robi Ridgeway Medical, to nie powinieneś tak mnie odbierać. Mówienie, że jestem obojętna lub pozbawiona współczucia tylko dlatego, że reprezentuję korporację, to tak jak mówienie, że ponieważ jesteś tylko małomiasteczkowym lekarzem, nie możesz zrozumieć przyczyn istnienia firmy typu Ridgeway. Rozumiesz to, co robimy, nawet jeżeli ci się to nie podoba. A fakt, że jesteś lekarzem na małej wyspie, nie czyni cię zacofanym, więc nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała.

Czas wracać do życia, które zna. Nie pokłóci się z Grantem, wcale tego nie chce. Na pewno by w to nie uwierzył, ale podziwiała jego pasję do medycyny. Nawet mu jej zazdrościła. Zapomniała już, jakie to uczucie, i mogła mieć tylko nadzieję, że kiedy Ridgeway przejmie tę klinikę, on w niej pozostanie. Mało jest takich lekarzy jak Grant Makela.



A takich mężczyzn jeszcze mniej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Popracuj u nas! - zawołał Grant, kiedy Susan wsiadała do wynajętego samochodu.

Obejrzała się, myśląc, że pobiegł za nią, ale on jeszcze stał na werandzie. Przystojny facet, pomyślała. Takie było jej pierwsze wrażenie, i się nie zmieniło. Kiedy tak stał, w bermudach, hawajskiej koszuli w kwiaty i sandałach, zaparło jej dech w piersiach. Zmuszanie go do włożenia innego ubrania byłoby zbrodnią, ale była to jedna ze zmian czających się na horyzoncie.



- Słucham? - Nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Mówiłaś, że masz jeszcze wakacje, więc mogłabyś spędzić je, pracując tutaj.

Było jasne, że Grant nie podejździe do niej, więc pokonała połowę drogi do werandy i przystanąła.

- A czego miałyby to dowieść?

- Nigdy nie pracowałaś w żadnej z waszych placówek, prawda?

Oślepiało ją słońce, ale mogłaby przysiąc, że Grant uśmiechnął się przebiegle.

- Nadzoruję politykę medyczną korporacji, a sprawy administracyjne pozostawiam dyrektorom.

- Susan, nie mówię o administracji i nie o to pytam. Założę się, że nigdy nie włożyłaś lekarskiego fartucha, nie zawiesiłaś na szyi stetoskopu i nie wyruszyłaś do gabinetu popracować. Leczyć bolące gardła, zapisywać leki na kaszel, i tak dalej. Nigdy tego nie robiłaś, prawda?

Taki przewrotny uśmiech, i jeszcze rzuca jej wyzwanie! Chyba myśli, że da jej tu popracować przez kilka godzin, by zobaczyła, jak wygląda świat prawdziwej medycyny, a potem zmieniła zdanie. Ale to nie tak. Szkoda, bo gdyby mogła podarować mu tę klinikę, pewnie by tak zrobiła.

- To, co robię, pozwala setkom lekarzy leczyć gardła i kaszel.

Grant nie poddawał się bez walki.

- Wróć. Popracuj jako lekarz, który nie podlega ograniczeniom, jakie nakładasz na swoich podwładnych w Ridgeway Medical.

- Jak długo? - Sama się zdziwiła, że o to pyta. Wcale nie miała zamiaru się zgodzić, ale zachowywała się jak ćma wabiona przez płomień. Im bardziej się do niego zbliżała, tym lepiej uświadamiała sobie nieuchronną klęskę, ale coś ją wiodło w stronę ognia. A przecież jest sprytniejsza od tego



nieszczęsnego owada. - Gdybym się zgodziła, co oczywiście nie jest moim zamiarem, to na jak długo?

- Ile dni zostało ci jeszcze z wakacji? On mówi poważnie!

- Sześć, łącznie z dzisiejszym. - To szaleństwo! - A co będę z tego miała?

Już nie tylko zastanawiała się nad jego propozycją, ale na tyle się nią zainteresowała, że Grant przebiegle się uśmiechnął.

- Świadomość tego, jak wygląda rzeczywistość po drugiej stronie barykady. Ty siedzisz za biurkiem i podejmujesz decyzje dotyczące życia ludzi, których nie znasz. Tutaj poznasz ich i dzięki temu staniesz się lepszym administratorem.

- Masz nadzieję, że zmienię zdanie? Ze kiedy będę wyjeżdżać stąd za sześć dni, pomacham moją czarodziejską różdżką i jakimś cudem zachowasz tę swoją klinikę w dawnym kształcie?

- Tak. Skorzystam z każdej okazji.

To był uczciwy układ, ale Susan zorientowała się, że Grant nie wie, że ona nie jest zwykłym pracownikiem korporacji, lecz jednym ze współwłaścicieli. A może to i lepiej? Zwłaszcza że kusił ją, by przyjąć propozycję. Śmieszne, że padła ona akurat wtedy, gdy zapragnęła powrócić do regularnej opieki nad pacjentami.

A właściwie co jej szkodzi poświęcić tych sześć dni i zobaczyć, co z tego wyniknie? Dowiedziałyby się, czy jej niepokój jest przelotny, czy też zostanie z nią na dłużej. Może stwierdzi, że jej powołaniem jest zarządzanie, albo raz na zawsze okaże się, że powinna zostać lekarzem praktykującym. Oprócz tego przedstawi radzie nadzorczej swoją opinię w sprawie przejęcia Kahawaii. Cokolwiek się stanie, to świetna okazja.



- Niczego nie obiecuję, bo nie wiem, jak się sprawy potoczą w ciągu kilku następnych dni. Mogę wydać taką lub inną opinię, a rada nie musi mnie posłuchać, jeżeli zarekomenduję im to, co tobie by odpowiadało. Jeżeli się zgadzasz i nie obiecujesz sobie zbyt wiele, dam ci sześć swoich dni.

Sądząc z jego miny, słowa te zdumiały ją prawie tak samo jak Granta. Ale dlaczego nie? Miała czas i perspektywa spędzenia z nim kilku dni w tym raju nie rysuje się najgorzej, chociaż było jasne, że niekoniecznie będzie się im dobrze współpracowało. Skoro w niczym się nie zgadzają?

- Ale ja dowodzę - ostrzegł.

Nie musiał, przecież to oczywiste. Nie oczekiwała, że będzie inaczej, chociażby ze względu na jej brak praktyki w ostatnich latach.

- Ty dowodzisz.

Zmarszczył czoło, jak gdyby liczył w myślach problemy związane z układem, który właśnie jej zaproponował. Po pierwsze, Susan nie ma żadnego doświadczenia. Po drugie, będzie usiłowała położyć kres obecnej działalności Kahawaii. Po trzecie, wprowadzi zwyczaje obowiązujące w klinikach Ridgeway.

Susan odniosła wrażenie, że tak właśnie rozumuje Grant, i że listę swych zastrzeżeń będzie wydłużać w nieskończoność, ale nie chciała teraz o tym myśleć.

Zaraz weźmie się do pracy, i trochę się tym denerwowała. Zgoda, by zostać praktykującą lekarką, to jedno, ale obowiązki to zupełnie coś innego...

- Miejscowi mówią, że masz inne imię. - Celowo zmieniła temat, chcąc zyskać trochę czasu.

- Już się wycofujesz - zauważył.



- Prowadzę tylko kulturalną rozmowę. Myślałam, że już wszystko ustaliliśmy.

Grant stłumił śmiech.

- Susan, niczego nie ustaliliśmy. Staramy się tego uniknąć.

- I jednym z uników jest moje pytanie o twoje imię. Nie ma w tym żadnego podtekstu, po prostu jestem ciekawa.

Zszedł na parking i zatrzymał się kilka kroków przed nią. Przyglądał się jej przez chwilę, wprowadzając ją w stan niepokoju, bo wiedziała, co może w jej twarzy odczytać. Gdyby miała pod ręką lusterko, zobaczyłaby w nim doskonały obraz braku pewności siebie i niską samoocenę. Zaczęła uświadamiać sobie skutki układu, jaki właśnie zawarła, i zrozumiała, co obiecała zrobić.

Zwariowała! Dlaczego się zgodziła?

- Etana to moje hawajskie imię. Znaczy silny, mocny. Tak mówiła do mnie matka, i większość ludzi tak mnie tutaj nazywa.

- Pasuje do ciebie - powiedziała cicho. Wzruszył ramionami.

- Grant to imię mojego dziadka. Był misjonarzem na tych wyspach.

- Był *haole*?

- Tak, cudzoziemcem. Ale kiedy tu osiadł, to na dobre. Często tak bywa. Ludzie przyjeżdżają tu na krótko i zostają. - Uśmiechnął się, ale tym razem bez przewrotności. Szczerze i łagodnie. - Urok wysp.

- A ty teraz używasz jego imienia, bo...?

- Powiedzmy, że nie byłem idealnym dzieckiem. Wpadałem w rozmaite tarapaty. Ludzie jeszcze o tym pamiętają i kojarzą to z Etaną. Więc kiedy wróciłem tutaj po skończeniu medycyny, wpadłem na genialny pomysł, że zmiana imienia uczyni mnie nowym człowiekiem.



- Podziałało? - W jej przypadku nie, bo mimo że nosiła inne nazwisko, ciągle była córką Waltera Ridgewaya.

Roześmiał się, potrząsając głową.

- Słyszałaś, żeby ktoś mówił do mnie „Grant”?

- Może jeszcze tak się stanie...

- A może nie. Czasami jesteś tym, kim jesteś, i nic tego nie zmieni.

Nawet nowe imię. Leczę Omara Lahani na dusznicę, on słucha moich rad, bierze leki, które mu zapisuję, ale nigdy nie zapomni, że to ja wybiłem mu nowe okno panoramiczne, które właśnie wstawił w swoim domu.

- Piłką? To był wypadek?

- Kamieniem. Specjalnie. Miałem dziewięć lat, a okno aż się o to prosiło. To, że zmieniłem imię, nie wymazało z pamięci Omara tego, co zrobiłem. Miałem nadzieję, że tak się stanie, ale się myliłem.

Ona też będzie zawsze należała do Ridgewayów, niezależnie od tego, jakie przybierze nazwisko. I nic tego nie zmieni.

- A więc dalej jesteś małym niegrzecznym chłopcem?

- Już się tak nie zachowuję. W naszej kulturze wierzymy mocno, że każdy z nas musi wypełnić swoje przeznaczenie. Myślę, że to była jego część.

Ona też w to wierzyła, ale nie wiedziała, czy odnalazła swoje przeznaczenie.

- Jesteś pewien, że chcesz, żebym tu pracowała? -zapytała, wracając do poprzedniego tematu. - Wiem, że wyglądało to na dobry pomysł, ale nie jestem przekonana, że powinnam się zgodzić. I niezależnie od tego, co myślisz o mnie i o moich nawykach korporacyjnych, nie chciałabym zawieść zaufania pacjentów.



- Umowa to umowa, pani doktor. Nie wycofuję się, a reszta zależy od ciebie.

Ona też nigdy nie odrzucała wyzwania.

- Kiedy zaczynam? - Wyglądała na znacznie od-ważniejszą, niż była w rzeczywistości.

- Natychmiast. Przejmij dyżur w naszym małym pogotowiu. Przyjmujemy tam wszelkie przypadki z plaży i innych chorych. Dolegliwości są podstawowe, uczyłaś się o nich na medycynie. Skomplikowane i poważne sprawy odsyłamy, jeżeli to możliwe, do Honolulu.

„Susan, wiesz, że nie idziesz na medycynę po to, żeby zostać praktykującym lekarzem”. Te słowa ojca dotąd ją prześladowały. „Każdy może zostać lekarzem, ale nie każdy może przejąć Ridgeway Medical. Nauczysz się wszystkiego, o czym musisz wiedzieć, i któregoś dnia korporacja będzie twoja”.

Wszystko, co musi wiedzieć... Co za ironia. Następne lata, kiedy uczyła się zarządzania, miały przynieść jej większe profity niż wykształcenie medyczne. Chociaż, jej zdaniem, najlepszymi menedżerami w instytucjach opieki zdrowotnej byli lekarze posiadający wiedzę w obu dziedzinach.

- Jesteś niezła - ciągnął Grant. - Inaczej nie proponowałbym ci pracy. To jedna sprawa, a druga to fakt, że dzięki tobie zyskam więcej czasu na znalezienie sposobu, by powstrzymać cię od przejęcia kliniki.

Jego słowa przyciągnęły jej uwagę.

- Myślisz, że masz szansę? - zapytała z czystej ciekawości. Nie dlatego, że należy do Ridgewayów, ale po prostu chciałyby wiedzieć.

- Może - odpowiedział ostrożnie. Susan roześmiała się głośno.



- Rozumiem, nie masz do mnie zaufania. - Zabolało ją to, ale trudno Granta za to winić. Ona jest przysłowiowym wilkiem w owczej skórze. Jedyne, co jej pozostało, to przypieczętować umowę i zabrać się do dzieła. - Umowa stoi. - Wyciągnęła rękę, tak jak czyniła to podczas niezliczonych rozmów o interesach. - Powiedz, co mam robić.

Jakaś iskra przeleciała między nimi. Poczowała ją i uznała, że spodobał jej się dotyk jego dłoni. Nikt, nawet Ronald Cantwell, tak jej nie dotykał, nie sprawiał, że pragnęła kontaktu fizycznego. Za bardzo jej się to spodobało. Właściwie to wszystko się jej w nim za bardzo podoba, może to stanowić problem, chociaż Grant nie wyglądał na kogoś, kto brata się z wrogiem, a za takiego ją uważał. Czy to nie wariactwo z jej strony, zostawać tutaj w takich okolicznościach? Odpowiedź brzmiała „tak”, ale nie chciała opuszczać tego miejsca.

- Jeden dzień - powiedział. - Żyjmy z dnia na dzień, każde z nas może wieczorem wycofać się z u-mowy. Na początek zajmij się panem Morimoto. Dwa razy w tygodniu badamy mu stopy i nogi pod kątem neuropatii. Ma słabe żyły, skłonne do zakrzepów, więc osłuchujemy mu serce i płuca.

- Dwa razy w tygodniu?

- Wy tego pewnie nie robicie, ale my wolimy zapobiegać komplikacjom. W najlepiej pojętym interesie pacjenta.

- Macie rację.

- To wszystko? - zdziwił się. - Żadnych kontrargumentów?

- Wielka medycyna nie jest taka straszna. Jest koniecznością.

Działamy, jak działamy, bo to najlepszy sposób na objęcie opieką dużej liczby pacjentów. Możesz się spierać i kwestionować nasze metody, ale w rzeczywistości jesteśmy po tej samej stronie. Jeżeli pana Morimoto trzeba



badać dwa razy w tygodniu, to taką opiekę należy mu zapewnić. Nie będę z tym dyskutować.

- Ale twoja korporacja by dyskutowała?

Chciała, by zmienił o nich zdanie, bo zachowywał się tak, jakby był ich najgorszym wrogiem. Sprawa będzie trudna, jeżeli wykupią klinikę.

Nagle przyszło jej do głowy, że Grant odejdzie wtedy z Kahawaii. Byłaby to wielka strata.

- Mam pomysł. Dla dobra naszej współpracy zgódźmy się, że się nie zgadzamy, dobrze? Nie chcę się kłócić. Przykro mi z powodu waszej sytuacji, ale ani ty, ani ja nie możemy nic na to poradzić. Mam nadzieję, że zdołasz coś wymyślić i wykupisz klinikę, zanim zrobi to Ridgeway. Pasujesz do niej.

Naprawdę wierzyła, że pewne rzeczy nie powinny się zmieniać, i ta była jedną z nich. Ale to rada nadzorcza podejmuje decyzje, i to na wniosek jej ojca, który może je uchylić, jeżeli ma na to ochotę. Co zdarzało się rzadko. Jej praca była jedynie konsekwencją tych decyzji.

- Wiem, że wykonujesz tylko swoją pracę, tak jak ja. Ale moja praca jest moim życiem. Pacjenci są moimi przyjaciółmi.

Z nią jest podobnie. Praca również była dla niej życiem, ale w jej życiu osobistym brakowało przyjaciół. Byli tam tylko ludzie, z którymi prowadziła interesy, ale nie prawdziwi przyjaciele. Grant jest chyba w lepszej sytuacji.

- Chciałbym, żebyś zobaczyła - ciągnął - jak uprawia się medycynę w takim miejscu jak to. Jestem pewien, że czegoś takiego nie widziałaś. Nie mam nic do ciebie. Polubiłem cię, zanim się dowiedziałem, że pracujesz dla Ridgeway Medical.

- A teraz mnie nie lubisz?



Na jego twarzy znowu ukazał się przewrotny uśmiech. Susan odetchnęła z ulgą.

- Zobaczymy.

Może nie będzie tak źle.

- Doktor Etana mówi, że jest pani dobrą lekarką - powiedział pan Morimoto, kładąc się na leżance.

Susan trudno było określić jego wiek. Miał gładką skórę, siwe włosy i bystre czarne oczy.

- Doktor Etana jest bardzo uprzejmy. - Była lekko zdenerwowana, mając zbadać pierwszego od lat pacjenta. - Ale doceniam komplement.

Pan Morimoto złożył dłonie na podołku i obserwował ją. Zbadała mu ciśnienie, osłuchiwała serce i płuca, zajrzała w oczy i do uszu, obmacała brzuch. Kiedy pochyliła się, by zbadać nogi, pan Morimoto położył jej dłoń na ramieniu.

- Powinna pani więcej mówić. Ma pani miły głos

- powiedział.

- Nie jestem dobra w gawędzeniu. - To znaczy, że nie jest miła w kontakcie z pacjentami. Kiedy była jeszcze stażystką, jej opiekun chwalił ją, ale to było dawno i wcale się nie przydawało w pracy, którą potem wykonywała. Wyszła z wprawy. - Mało mam do czynienia z pacjentami i nie nauczyłam się tego. Jaką mamy pogodę?

- Piękną. Przydałoby się trochę deszczu.

- Słucham?

- Pytała pani o pogodę, więc odpowiedziałem. To jest właśnie gawędzenie. - Uśmiechnął się szeroko.

- A jak długo nie badała pani pacjenta, jeśli wolno spytać?

Badając najpierw jedną, a potem drugą stopę, zaczęła liczyć.



- Chyba z pięć lat. - Stopy były w porządku, zajęła się więc kostkami i łydkami.

- I podoba się pani taka medycyna, w której nie ma pani do czynienia z pacjentami?

- Chyba tak, skoro tak długo to robię.

- Ucieka pani od odpowiedzi, kochana. To dużo mówi. Uczyłem tu na uniwersytecie. Od zeszłego roku jestem na emeryturze. Kiedy ktoś mnie pytał, czy lubię to, co robię, natychmiast odpowiadałem, że tak. Dopiero potem narzekałem. Pani odpowiedź była wymijająca, i stąd wnioskuje, że się pani praca nie podoba.

- Przechodzę właśnie kryzys. Zastanawiałam się ostatnio, czy nie poszłam niewłaściwą ścieżką.

- Nigdy nie jest za późno na zmianę.

- Ale w mojej sytuacji nie byłoby to łatwe. Muszę się zastanowić.

- I dlatego tu pani jest? Żeby się zastanowić?

- Można tak powiedzieć. Nie bołą pana nogi? Zauważył pan jakieś zmiany?

- Nie. Od trzech lat nic się nie zmieniło, ale trzeba uważać, prawda?

- Uprawia pan sport?

- Spaceruję. Pływam. Trzy razy w tygodniu jeżdżę na rowerze.

- Myślę, że wszystko jest w porządku.

- Badanie stało się o wiele przyjemniejsze, kiedy zaczęła pani mówić.

To rozluźnia pacjenta, a czasem nawet i lekarza.

- To było widać? Roześmiał się i wstał z leżanki.

- Obawiam się, że tak. Ale wszystkiego można się nauczyć. Proszę dać sobie z tydzień czy dwa, a będzie pani biegła w sztuce konwersacji.

Tydzień czy dwa...



Pan Morimoto nie ma pojęcia, co się stanie za tydzień czy dwa. Ale w tym momencie ona też nie miała o tym pojęcia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rutynowa opieka. To właśnie Grant zlecił Susan w izbie przyjęć. Było tam pięć boksów, podstawowe wyposażenie, wystarczająca ilość środków sanitarnych. Przez ostatnie cztery godziny zajmowała się skaleczeniami, siniakami, udarami słonecznymi, bólami żołądka i podobnymi dolegliwościami.

Nic ekscytującego, Grant jednak zauważył, że ilekroć spojrzał w jej stronę, Susan się uśmiechała. Najpierw nieśmiało, a później z entuzjazmem. Z łatwością przechodziła od pacjenta do pacjenta i traktowała każdy przypadek tak, jakby był najważniejszy na świecie. Zamieniając z



pacjentami tylko kilka słów, stawała się ich przyjaciółką i kimś, kogo darzyli zaufaniem.

W oczach miejscowych, zastygłych w swoich przyzwyczajeniach i nie zawsze otwartych na obcych, do których zaliczali także personel medyczny, zakrawało to na cud. Także turyści, którzy znaleźli się w potrzebie, nie mogli się nachwalić nowej pani doktor.

Miała jakiś naturalny dar i była szczęśliwa, zajmując się pacjentami. Zastanawiał się, dlaczego na tak długo utknęła za biurkiem. Dla pieniędzy? Z pewnością jej stanowisko związane jest z wysoką pensją, ale Susan nie wygląda na kobietę, której by szczególnie na tym zależało. Musi być coś, co pociągnęło ją do zarządzania.

Czy naprawdę wierzy, że to, co robi Ridgeway, jest najlepsze dla klinik i szpitali? Jeżeli tak, to niezależnie od tego, jak się jej ułoży praca, Susan nie zmieni zdania, co będzie oznaczało kres jego planów, chyba że pani Kahawaii zweryfikuje stanowisko co do sprzedaży kliniki. Ale nie miał na to wielkiej nadziei.

Trudna sytuacja, a do tego Susan spodobała mu się, co komplikuje sprawę. Znowu zainteresował się niewłaściwą kobietą. Przyszłą szefową, której politykę i procedury zdążył już znienawidzić.

Przyglądał się, jak Susan bada nastolatkę cierpiącą na poważne oparzenie słoneczne, i rozmyślał o przejęciu Kahawaii. Duże szpitale pożerają małe. Czy mu się to podoba, czy nie, są już stowarzyszeni z jednym z większych szpitali w Honolulu, aby zapewnić sobie stały dopływ lekarzy i usług medycznych, do których inaczej nie mieliby dostępu. Ale szpital w Honolulu sam walczy o przetrwanie i w razie niepowodzenia pociągnie za sobą Kahawaii.



Innymi słowy, jego mała wiejska praktyka może łatwo się rozsypać, po części z jego winy.

- Alano, niech cię szlag trafi - mruknął pod nosem, przyglądając się, jak Susan przechodzi do kolejnego pacjenta, pani Hamakolea, starej i upartej kobiety, podejrzliwej i niezbyt przychylniej obcym.

Nawet teraz ta baba nie wierzyła, że Etana jest lekarzem. Dla niej ciągle był łobuziakiem, który podkrada ananasy z jej ogródka. Mimo że minęło już tyle lat, ciągle ją za to przepraszał. A teraz gniew tej kobiety ma spaść na Susan. Pani Hamakolea, która była niska i korpulentna, miała długie czarne włosy związane na czubku głowy w węzeł i skrzyżowane ramiona, w wielu ludziach wzbudzała strach.

Przez moment ogarnęło go współczucie dla Susan i poczuł impuls, by ruszyć jej na pomoc. Ale czy mu się zdaje, czy stara kobieta się uśmiecha? Rozmawia z Susan tak, jakby były przyjaciółkami! Tego by się nigdy nie spodziewał.

Westchnął i przeszedł do następnego pacjenta: kolejny wypadek przy surfingu. Pewnie złamane żebro. Złość na Alanę zniknęła z twarzy Granta. Była żona odeszła z jego wszystkimi oszczędnościami, pieniędzmi na wykupienie kliniki. Teraz pani Hamakolea i wiele innych osób ucierpi, bo nikt nie zgodzi się na bezosobową politykę Ridgeway Medical. Jeżeli Kahawaii przejdzie w ręce Ridgewayów, pani Hamakolea po prostu przestanie tu przychodzić, co przy jej wysokim ciśnieniu może się okazać niebezpieczne.

Uczynku Alany nie da się wymierzyć w dolarach i centach, które mu ukradła.

Doktor Kahawaii chciał mu sprzedać klinikę, zanim jeszcze Grant zaczął studiować medycynę. Gdy został lekarzem, zamieszkał z Alaną.



Później zrozumiał, że podjął ten krok, by stworzyć wizerunek dorosłego mężczyzny w społeczności, która ciągle miała go za małego chłopca.

Kompletna głupota. Nie znał Alany i wcale jej nie kochał. Nie poświęcał jej też czasu, a finał był taki, że zabrała mu wszystko, co miał, a to, co teraz mu oddawała w ratach, aby nie wylądować w więzieniu, nie wystarczy na kupno kliniki. Musiał się więc wycofać z umowy, utrwalając w ten sposób w wielu osobach opinię, że ciągle jest łobuzem, którego nawet studia medyczne nie odmieniły.

Doktor Kahawaii był zawiedziony i trochę rozczarowany Grantem, bo nie uważał go za nieudacznika. Grant z kolei źle się czuł, wiedząc, że nie spełnił oczekiwań jedynej, poza matką, osoby, która w niego wierzyła.

Starszy pan poczynił pewne kroki, które dałyby Grantowi więcej czasu i umożliwiłyby sfinansowanie kupna kliniki w mniejszych ratach. Zanim umowa nabrała mocy prawnej, doktor Kahawaii zmarł na zawał, a wdowa po nim nie miała już ochoty czekać. Dała Grantowi sześć miesięcy na wpłatę zaliczki, co i tak było ładnym gestem, ale nie wystarczyło na zgromadzenie odpowiedniej kwoty.

Teraz pani Kahawaii podjęła rozmowy o sprzedaży. Nie obwiniał jej, ale nie dawał za wygraną i szukał sposobu na utrzymanie kliniki, zanim ostateczny kontrakt zostanie podpisany. Cuda czasem się zdarzają i może jednak termin sprzedaży przesunie się o kolejne sześć miesięcy. Nie wiedział, co dokładnie mógłby w tym czasie osiągnąć, ale pół roku to pół roku i kto wie, co może się wydarzyć.

Za dwa dni miał się spotkać z panią Kahawaii i czegoś się dowiedzieć. Do tego momentu będzie szukał wyjścia. Tak, Susan jest jednym z nich. W najlepszym wypadku zrozumie, że lepiej zostawić klinikę w jej obecnej



postaci, i przekaże takie zalecenia swoim szefom. W istocie nie bardzo na to liczył, ale...

Tymczasem powinien ją obserwować. Nie może dać się zwieść temu, co mu się w niej podoba, bo resztki zaufania do kobiet mogą mu przysporzyć jeszcze

większych kłopotów. To tak jak kradzież ananasów z ogrodu pani Hamakolea. Były najlepsze i największe, a wiedział, że źle robi. Ale tak cudowny miały smak! Dlatego nie mógł się im oprzeć.

Zawsze ściągały na niego kłopoty, nawet teraz, bo pani Hamakolea wyszła właśnie zza parawanu z szerokim uśmiechem, który na jego widok przerodził się w posępny grymas.

- Jakiś problem? - Ruszył za Susan, która wyglądała zachwycająco, mimo że się umalowała, a włosy związała w koński ogon.

- Nic, czego student drugiego roku nie mógłby załatwić. Zwykle dolegliwości, drobne urazy z plaży. A pani Hamakolea jest bardzo miła. Zaprosiła mnie do siebie, żebym skosztowała jej ananasów. Podobno są najlepsze w okolicy.

- Pójdiesz?

- Później, po południu. Obiecała, że mi upiecze ciasto.

Zaśmiał się z podziwem. Susan nie ma pojęcia, jaki odniosła sukces.

- Mnie pewnie nie zaprosiła, prawda?

- Nie. Jest bardzo miła i z pewnością...

- Grzechy młodości. Niektórzy mieszkańcy jeszcze je pamiętają. Pani Hamakolea nie widziałaby mnie chętnie w swoim domu, zwłaszcza przy ananasach. Jak ci minął dzień?

- Nieźle. Sama rutyna.

- Podoba ci się nasz sposób leczenia?



Do przychodni weszła młoda kobieta z płaczącym dzieckiem.

- Oj, chyba mam kolejnego pacjenta.

Ocaliłaś skórę, przynajmniej na chwilę, pomyślał. Ale na to pytanie mi odpowiesz. I po raz pierwszy od chwili, kiedy wpadł na wariacki pomysł, by zaproponować jej tu pracę, zaczął podejrzewać, że klinika Kahawaii Susan się podoba.

Może to jest tylko pobożne życzenie. On, Grant, próbuje zobaczyć coś, czego nie ma. Ale miał nadzieję, że się nie myli.

Po południu liczba pacjentów zmalała. W pewnej chwili boksy i poczekalnia zaczęły świecić pustką.

- Jesteś zajęta? - zapytał Susan, odkładając ostatnią kartę pacjenta i przekazując symboliczne dowodzenie doktorowi Anai, jednemu z lekarzy pracujących w niepełnym wymiarze godzin.

- Nie, a ponieważ nikogo nie ma, chciałam sobie zrobić przerwę. - Czas minął jej bardzo szybko, bo cieszyła się każdą chwilą. Prawdopodobnie zapłaci za to jutro, ale teraz kipiała energią. - Muszę się czegoś napić, zanim wrócę do pracy. Co mam jeszcze zrobić?

- Chodź ze mną na spacer, a właściwie na wizytę domową.

- Jeździecie do pacjentów?

Na twarzy Susan odmalowało się zdziwienie. U lekarzy z Ridgeway wizyty domowe nie wchodzi w grę.

- Tak, ale ta pacjentka woli lekarza kobietę. Jest staroświecka i nie lubi, kiedy bada ją mężczyzna.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego? Co to jest?

- Wzięła płócienną torbę, którą jej podał, i zajrzała do środka. - Mielonka?

- Na każdego można znaleźć jakiś lek. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak bardzo może pomóc.



- Teraz mnie tak zaintrygowałeś, że pójdę z tobą.
- Jeep stoi pod drzwiami.
- Myślałam, że mamy iść na spacer.
- Pójdziemy, owszem - zaśmiał się - ale najpierw podjedziemy

kawałek samochodem.

Nie miał wcześniej zamiaru prosić Susan, żeby pojechała z nim do babci Moany, ale perspektywa dwugodzinnej podróży z nią była na tyle kusząca, że poprosił Lakę, by została tego dnia dłużej. Zwykle Laka jeździła do Moany sama, bo nie ma powodu, by to właśnie lekarz badał poziom cukru we krwi staruszki. Ale skoro przez ostatnie godziny zamartwiał się problemami Kahawaii, musiał się stąd wyrwać, rozjaśnić głowę i nabrać trochę dystansu.

Problemy były coraz większe, a obecność Susan bardziej mu o nich przypominała, niżby się spodziewał.

Wyliczył miesięczną dawkę glipizydu - leku, który Moana zażywała, by obniżyć swój minimalnie tylko przekroczony poziom cukru, oraz lisinoprilu, leku na nadciśnienie. Wziął jeszcze opakowanie tabletek na nadkwasotę. Starsza pani lubiła te o smaku mięty, sprzedawane bez recepty.

- Do kogo jedziemy? - zapytała Susan, kiedy wyruszyli.
- Jak wszyscy tutaj, ta osoba chce opieki lekarskiej na swoich

warunkach.

- A jej warunki to leki i mielonka. Czy to nie strata czasu? Nie żałuję jej lekarstw, ale nie byłoby lepiej, gdyby przyjechała do kliniki?

- Nie.
- Dlaczego nie?
- Bo zasługuje na to. I płaci.
- Jak? Ananasami czy strzyżeniem?



- Szyje fartuchy, których używamy.

- Można je kupić gdzie indziej za grosze.

- Oczywiście, ale wtedy babcia Moana nie czułaby się potrzebna. Jest ważna dla kliniki i wie o tym. Mam jej odebrać sens życia?

- No, może w tym wypadku wasza umowa nie jest zupełnie bezsensowna.

Grant poczuł smak małego zwycięstwa.

- Okej - ciągnęła. - Pracuje na rzecz kliniki. Ale co z tą mielonką?

Jest w tym dobra... Przeskakuje z jednego tematu, niewygodnego dla niej, na inny, bardziej neutralny. Ale pozwoli jej na to, bo właśnie odniósł zwycięstwo.

- Mielonka jest uważana tutaj za przysmak. Podczas wojny brakowało żywności, poza owocami, które tu rosły. Szczególnie mięsa. Mielonka z dostaw armii amerykańskiej była poza rybami jedynym źródłem białka. Ludzie polubili konserwy, i upodobanie do nich trwa. Puszka peklowanej wołowiny do dziś jest rarytasem. Jest droga jak łożo, bo sprowadza się ją z kontynentu. To delikates, na który nie każdy może sobie pozwolić.

- A babcia Moana uwielbia mielonkę.

- Nie martw się, klinika za to nie płaci.

- Wcale o to nie pytałam.

- Ale chciałaś zapytać.

- Jestem praktyczna. Może miałam taki zamiar.

Grant dobrze się czuł, rozmawiając z Susan. Z Alaną tak nie było.

Nagle uprzytomnił sobie problem, o którym nie chciał myśleć, i jego nastrój się pogorszył. Dla Susan pieniądze są ważne, tak jak dla Alany, choć w inny sposób. Pieniądze. Czyż to nie przez nie te problemy?



Nie odzywał się od kilku minut. Początkowo był rozmowny i przyjacielski, a potem zapadł się w siebie, jakby otoczyła go czarna chmura.

- Czy mogę - zaczęła i sprawdziła, czy jej słucha - wrócić na nocny dyżur, jak trochę odpocznę? Jeżeli potrzebujecie...

- Zawsze potrzebujemy - uciął. - Wszystkiego potrzebujemy. Za mało jest środków. Ludzie umierają, ale nikt się tym nie przejmuje, poza tymi, którzy nic nie są w stanie zrobić. A to, co zrobi Ridgeway z Kahawaii, też nie rozwiąże problemu, bo środki nie trafią do tych, którzy ich najbardziej potrzebują.

A więc o to chodzi. Dla niego Ridgeway to jeden z demonów współczesnego świata, a dla niej to ratunek dla małej kliniki walczącej o przetrwanie. Ale zmęczyła już ją ta dyskusja. Nie chciała stracić resztek dobrego nastroju, toteż uznała, że powinna wysiąść, złapać okazję, pojechać do kliniki po swój samochód

I się stąd wynieść. Wrócić do swojego życia i zapomnieć te ostatnie dni, a w szczególności godziny.

Ale tak łatwo się nie poddawała. Jeżeli stąd ucieknie, Grant uzna, że miał rację. Nie chciała mu dać tej satysfakcji. Liczyła na to, że Grant zrozumie, że przejęcie kliniki da jej szansę na rozwój i modernizację, aczkolwiek Susan zaczynała doceniać rodzaj opieki medycznej, jaką praktykowano w Kahawaii. Fakt, tutaj zdawała ona egzamin.

Susan podziwiała prostotę stosowanych tu rozwiązań. Może nawet zaczyna się zastanawiać nad sposobem utrzymania kliniki?

- Szukałeś zewnętrznych źródeł finansowania? - spytała, łamiąc zasady lojalności w stosunku do Ridgeway. - Myślałeś o ustaleniu zryczałtowanej opłaty? Wiem, że płacenie ananasami ma nieodparty urok estetyczny...



- Tu nie chodzi o estetykę - głos mu już złagodniał - ale o ludzi, których nie stać na płacenie. Są dumni. Nie przyjmą jałmużny. Taki był cel założenia tej kliniki: dobroczynność. Ludziom jest łatwiej ją przyjąć, jeżeli mogą ofiarować coś w zamian, i dlatego, jeśli pacjenci są biedni, przyjmujemy od nich ananasy. Rekompensują nam to ci, którzy mogą zapłacić, oraz pacjenci, którzy są ubezpieczeni. Było chudo, ale dawaliśmy sobie radę.

- Grant, żyjemy w nowoczesnym społeczeństwie. Są lepsze sposoby.

- Nawet w nowoczesnym społeczeństwie będą biedni ludzie. I dumni. To nie Chicago czy Los Angeles. Nawet nie Honolulu. Niektórzy są zawieszani gdzieś pomiędzy nowoczesnością a starym tradycyjnym światem. Łowią ryby, bo muszą jeść. Mogą mieć w domu komputer, ale podstawą ich diety są owoce z drzewa chlebowego rosnącego przed ich domem. A w lecie, kiedy jest za gorąco, ci, którzy nie mają klimatyzacji, całymi tygodniami żyją na plaży.

Dzieci chodzą do szkół, młodzież do college'u. To nie jest prymitywne społeczeństwo, ale rzeczywistość jest inna, niż można oczekiwać. I to jest część spuścizny, z której nie powinniśmy rezygnować.

- I nie można znaleźć żadnej pomocy dla kliniki? Czy tradycja, którą chcesz zachować, nie pozwala na to?

Nie chciała się kłócić, chciała go zrozumieć. Sama nie żyła tak skromnie jak Grant. Oboje są wykształceni, ale mogła go sobie wyobrazić, jak koczuje całymi dniami na plaży, podczas gdy ona uzależniła się od hotelowych wygód. Jej rzeczywistość była inna. Zazdrościła mu jego poczucia celu. On wie, kim jest.

- Pozwala. I wierz mi, że szukałem funduszy, ale wiążą się one z tym, co nie zdałoby tutaj egzaminu. Moja wiedza medyczna jest tak samo



nowoczesna jak wiedza innych lekarzy. Uczę się, śledzę najnowsze osiągnięcia. Ale dla mojej pacjentki nie będą miały większego znaczenia, jeżeli nie przyjdzie do kliniki. W twoim świecie zapomniano by o niej, w moim nie. Dlatego do niej jadę. I taka jest różnica pomiędzy twoją medycyną a moją. Ale niestety, czas to pieniądz, i w oczach Ridgeway Medical poświęcenie dwóch godzin, by odwiedzić Moanę, jest nieekonomiczne. Chyba że potrzebujesz nowej koszuli.

- Potrzebuję! - Ucieszyła się, że przestał być zły.

- Zwłaszcza że masz tu zostać jeszcze przez pięć dni. Zostaniesz, prawda?

- Jesteś pewien, że tego chcesz? Wiem, że nie jest ci łatwo, bo kojarzę ci się z zagrożeniem. Wolalabym nie przysparzać ci problemów.

Odczułaby zawód, gdyby nie spędziła kilku dni w raju. Susan Ridgeway Cantwell, dla której jak dotąd największą przygodą było zbieranie muszelek, leżenie na piasku i czytanie romansów, spodobało się tu i nie zamierzała z tego rezygnować.

W głębi serca była prawdziwym lekarzem, a nie administratorem. Chciała dla pacjentów, i dla Granta, tego, co najlepsze.

A do tego Grant wzbudzał w niej pozytywne uczucia, co zakrawa na szaleństwo. Nie prowadzi to do niczego, nic się nie może nawet zacząć. Ona jest jego wrogiem. Tylko tak mógł ją odbierać. Ale w jego obecności czuła się dobrze i pewnie. Stała się ważna, bo jej praca ma znaczenie, nawet jeśli polega tylko na przyklejeniu plastra na podrapany łokieć czy kolano.

- Zrozumiem, jeżeli nie... - dodała.

- Umowa stoi - przerwał jej poważnym głosem. - Nie musimy jej zmieniać, chyba że chcesz.



- Nie, nie chcę - odparła i nagle poczuła nieznana jej dotąd radość. Była zrelaksowana, bo niedługo znów czekało ją parę godzin pracy. To po pierwsze, a po drugie przemawiała do niej owa ujmująca siła, którą Grant emanował. Przebywanie w jego aurze sprawiało, że sama czuła się silna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z wiejskiej drogi, którą jechali, roztaczał się piękny widok na bujną tropikalną zieleń i nagie góry. Na myśl o Hawajach Susan przychodziły do głowy tylko plaże, a nie surowe pasma górskie i dżungla wyglądająca na jeszcze niezdobytą.

Życie toczyło się na wybrzeżu, chociaż interior był rozległy i oszałamiający. Po dwudziestu minutach jazdy po zakurzonej, częściowo zarośniętej drodze, nie spotkawszy ani jednego samochodu, Grant zatrzymał się na małej przecince. Obok, w dużych kępach, rosły dzikie orchidee. Niektóre przytulały się do palm i można było je dosięgnąć z okna samochodu.



Jestem dziewczyną z miasta, pomyślała Susan, wysiadając i starając się nacieszyć wzrok niezwykłym widokiem.

- Jak tu pięknie! I wcale nie ma turystów...

- Turyści chcą plaż i wygod.

Znalazła się z Grantem sam na sam w raju, ale wcale jej to nie zaniepokoiło.

- Jestem przyzwyczajona do miasta. Ludzi. Hałasu.

Poczuła w płucach czyste powietrze. W Dallas panowała taka wilgotność, że trudno było oddychać. Przyzwyczai się do tego miejsca, jeżeli nie będzie ostrożna.

- Dobrze, że się tu zatrzymaliśmy. - Podeszła do ogromnej palmy, by powąchać orchidee żyjące z nią w symbiozie.

- To dopiero początek - powiedział Grant, zarzucając na ramię lekarską torbę.

Pierwsze minuty wspinaczki należały do przyjemnych. Pytała Granta o kwiaty i rośliny, zatrzymywała się, by podziwiać egzotyczne ptaki. Z łatwością wyobrażała sobie zatracenie się w tym raju, spędzanie tutaj życia. To bajka, jeżeli ktoś w nie wierzy. Ona nie wierzyła, i bardzo tego żałowała.

- Czujesz? - zatrzymał się.

Susan wzięła głęboki oddech i skoncentrowała się na zapachu.

- To słodki zapach, i zarazem ostry.

- Tak pachnie żółty imbir.

- Rośnie dziko?

- Imbir, eukaliptus... Używamy ich w tradycyjnej hawajskiej medycynie.

- Czy są tu jeszcze uzdrowiciele?



- Zostało kilku, ale ludzie wolą nowoczesną medycynę. Szkoda. - Jego uwagę odwrócił przelatujący mu nad głową gwarek, naśladujący śmiech. - To zapomniana sztuka, która mogłaby jeszcze znaleźć miejsce we współczesnym świecie, gdybyśmy jej na to pozwolili.

- Jesteś lekarzem. Twoja klinika nie jest szczytem nowoczesności, ale wiesz, że zapalenie płuc łatwiej wyleczyć antybiotykami niż inhalacjami z eukaliptusa.

- Naprawdę? Tu, gdzie mieszkam, można i tak, i tak. A prawdę mówiąc, wolałbym, żeby leczono mnie najpierw eukaliptusem, a dopiero potem faszerowano antybiotykami. To zdrowsze i mniej inwazyjne. Już go stosowałem. Dla mnie ważniejsze jest dobro pacjenta, a nie instytucji medycznej.

W kółko to samo. Zawsze kończyli tam, gdzie zaczęli.

- Bez tej instytucji nie ma leczenia.

Grant, nie chcąc wdawać się w polemikę, roześmiał się cicho.

- Zmartwienie i stres ci nie służą, dostajesz zmarszczek.

- Jaką więc kurację by mi pan zapisał, doktorze? - Starła się utrzymać powagę, chociaż nie mogła się nie uśmiechnąć. - Eukaliptusową czy imbirową?

- Eukaliptus działa rozluźniająco, ale nie jest środkiem uspokajającym, a taki zaleciłaby ci twoja medycyna.

Podziwiała jego upór i determinację do tego stopnia, że niespodziewanie zaczęło jej zależeć na ocaleniu kliniki.

- Lubię aromaterapię i czasami poddaję się jej dobroczynnemu działaniu.

- *Kekoa*, nie dajesz za wygraną. Podoba mi się to u ciebie.

- Co to znaczy?



- *Kekoa?* Odważna.

- Wcale nie jestem odważna.

- Czy zawsze tak nisko siebie oceniasz? Ktoś mówi ci komplement, a ty go odrzucasz?

- To kwestia zwykłej uczciwości. Ja nie jestem odważna.

- To jak byś siebie oceniła?

- Jestem pracowita.

- To prawda.

Grant zerwał dziką orchideę i jej podał.

- Włóż ją za prawe ucho, jeżeli jesteś wolna, a za lewe, jeżeli kogoś masz.

Ona jednak powąchała kwiat, ciesząc się jego słodkim aromatem, po czym upuściła go na ziemię.

- Ani jedno, ani drugie - odparła, bo taki był jej wybór życiowy.

Starala się myśleć o czymś innym.

- Czy ta twoja pacjentka, Moana, musi pokonywać tę drogę, chcąc dostać się do domu? Bo jeśli jest w podeszłym wieku, to może mieć trudności - zauważyła, zatrzymując się przy drzewie, którego korzenie wyrastały zarówno z ziemi, jak i z gałęzi, tworząc wokół drzewa nieprzebyty gąszcz.

Jedno drzewo może utworzyć mały las, a to miało ze sto korzeni wyglądających jak małe pnie. Można się było w nim zagubić. Skojarzyło się jej to z Ridge-way Medical, firmą rozrośniętą ponad miarę. Tego właśnie Grant się obawiał. Może jego strach jest uzasadniony? Korzenie same w sobie są piękne i służą jakiemuś celowi, ale gdyby nie było pnia, to też by zniknęły.



- To banaan, figowiec bengalski, i nie należy do największych. Kiedy banaan zaczyna rosnąć, nie można ich powstrzymać - wyjaśnił, widząc jej zaciekawienie.

No tak, znowu aluzja do Ridgeway.

- Moana wytrzymałaby tę drogę, gdyby chciało jej się tak daleko chodzić, ale inną drogą można podjechać prosto pod jej drzwi. Ja lubię przychodzić od tyłu.

- Masz na to czas? - Znowu wyszedł z niej urzędnik. Nie mogła się przed tym powstrzymać.

Gdzieś z tyłu jej głowy tykał zegar opłacalności, a ten spacer zdawał się być ogromną stratą czasu. Sam w sobie był bardzo przyjemny, Susan jednak czuła się rozdarta. Jej naturalnym odruchem było zdławić czystą przyjemność zrobienia czegoś spontanicznie, bo jej życie na żadną spontaniczność nie pozwalało.

- Spontaniczność redukuje stres - odparł, jak gdyby czytał w jej myślach - i redukuje ciśnienie. Zwykłą podróż z jednego miejsca do drugiego trzeba urozmaicać, bo jest nudna.

- I mniej produktywna. - Nie mogła zaakceptować takiej lekkomyślności. Chciała się zrelaksować i poczuć przyjemność, ale nie potrafiła.

- Susan, widziałaś kiedyś rajskiego ptaka rosnącego dziko? To piękny i niezwykły kwiat, którego nie znajdziesz przy drodze. Musisz zboczyć, żeby się na niego natknąć. - Pochylił się i odgarnął pęk paproci.

Tuż za nim ukazała się przepiękna roślina.

Wyglądała dziwnie, jakby znalazła się nie na swoim miejscu, i stała samotnie wśród zarośli, pełna egzotycznego wdzięku. Przypominała ją samą.



- Kwiaty są naprawdę piękne, ale życie nie polega na poszukiwaniu rajskich ptaków, a ty chcesz tylko udowodnić swoją rację: że wiesz lepiej ode mnie, **co** mi jest potrzebne.

- Naprawdę tak uważasz?

- A nie jest tak? Moglibyśmy już wracać do kliniki, ale spacerujemy bez celu po pięknej okolicy.

- Nie bądź nudna, zawsze jest jakiś cel.

Racja, ale nie zawsze można sobie pozwolić na rozrywki.

- Powiem inaczej. Ważny cel. Szukanie w środku dnia pracy rajskiego ptaka nie jest takim celem. - To mogłoby przerodzić się w nawyk. Bez względu na to, jakich argumentów Grant by użył na poparcie sensowności wizyt domowych, tej wyprawy nie da się niczym usprawiedliwić. A co gorsza, każda chwila zaczęła sprawiać jej przyjemność.

- Powiedzmy, że nie ty tego potrzebujesz, tylko ja. Lepiej się poczujesz? Pozbędziesz się poczucia winy?

- A kto mówi, że dręczy mnie poczucie winy? Zdenerwowała się, że tak ją łatwo rozszyfrować.

Im bardziej oddalała się od rutyny dawnego życia, tym wyraźniej widziała, że do innego się nie nadaje. Nie ma ucieczki od samej siebie. Nie jest *kekoa*, i to ją rozgniewało. I zasmuciło, że tyle spraw jej umyka.

Zamiast odpowiedzieć, Grant chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Znowu poczuła, że przebiegł przez nią dreszcz, i zastanowiła się, czy on też tak zareagował na ten kontakt.

- Gdzie kończyłeś studia? - Celowo zmieniła temat.

Nie chciała już się z nim kłócić. Trzeba porozmawiać o sprawach bez znaczenia.

- W Kalifornii.



- Wrócisz tam kiedyś?

- Po tym, jak Ridgeway wykupi Kahawaii i mnie wyrzuci? To miałaś na myśli?

- Nawet prosta rozmowa nie jest z tobą łatwa.

- A czy zgodnie z twoimi przekonaniem prosta rozmowa nie jest stratą czasu?

Susan zatrzymała się na ścieżce.

- Grant, zdecyduj się na coś. Interes czy przyjemność? Dokuczasz mi, kiedy rozmawiamy o interesach, a kiedy próbuję zwrócić uwagę na sprawy bardziej osobiste, ty wracasz do biznesu. Wybieraj, a ja się dostosuję.

Rozbawiła go. Gdyby ta szermierka słowna między nimi nie dotyczyła ważnych spraw, byłaby bardzo podniecająca.

Grant rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

- Kiedy stąd wyjeżdżam, to po czterech czy pięciu dniach czuję się, jakbym się znalazł w tłumie. Dwa razy w roku lecę do Kostaryki, zwykle na dwa tygodnie, gdzie na skraju dżungli z grupą wolontariuszy zakładamy polowy szpital. Tam jest trochę tak jak tutaj. Ale gdzie indziej... brrr... to nie dla mnie. Wiem, gdzie jest moje miejsce!

Zazdrościła mu tej pewności.

- Chyba miło jest przywiązać się do jakiegoś miejsca, osiągnąć stabilizację. Dla mnie domem jest mój apartament. Nawet nie zdążyłam powiesić obrazów na ścianach. Podróżuję tak często, że połowę czasu spędzam w hotelach. Czasami, kiedy się budzę, nie wiem, gdzie jestem. Sekretarka rano dzwoni, żeby mi przypomnieć.

To już lepiej. Taka rozmowa nie wywołuje żadnych emocji.

- Jak długo tam mieszkasz?



- Od roku. Mam bliżej do biura niż z poprzedniego mieszkania. Lepiej wykorzystuję czas, bo nie tracę go na dojazdy. - Ten temat niebezpiecznie ociera się o pracę.

- Nie ma w nim nic osobistego? Nie jest wygodne?

- Zależy, czego się potrzebuje. Rzadko tam jestem. - Nie potrzebowała przytulnego gniazdka, takiego jak Grant ma zapewne na wyspie.

- Muszę przyznać, że chociaż nie mam prawdziwego domu, odpowiada mi to, co mam. Nic ekstrawaganckiego, ale dobrze się w nim czuję. - Odgarnął płataninę pnączy i pociągnął ją przez zarośla nieskażone przez cywilizację.

Zdumiewające, że tak chętnie idzie za nim. To wszystko jest takie dalekie od jej życia, że zaczęła się zastanawiać, czy nie doszły w niej do głosu jakieś głęboko ukryte pragnienia. Wziąwszy pod uwagę niepokój, jaki ostatnio odczuwała, nic nie może jej już zdziwić. Ale chyba nie mogłaby żyć w takim miejscu, w jakim żyje Grant. Prawda?

Nie mogła pozbyć się tej myśli. Może pragnie jakiejś odmiany, ale jest zbyt praktyczna, by zaakceptować coś tak skrajnie odmiennego. Można tutaj spędzić wakacje, a nawet kilka dni popracować, ale zostać tu na dłużej?

Praktyczna pani w raju. Boże, co za konstatacja!

- Kiedy znajdziesz się w takim miejscu, poza miastem, życie staje się nieskomplikowane. Nikt nie przywiązuje wagi do posiadania, tylko skupia się na prostych przyjemnościach.

- I to się sprawdza - dokończyła Susan ze zdumieniem.

W jej świecie liczyło się to, co kto ma. Ona i jej ojciec są właścicielami prywatnego odrzutowca. Nic nie jest proste dla takiego kogoś. Dla nich ważna jest liczba zawartych kontraktów i posiadanych nierucho-



mości. Nie miała nawet pojęcia, czy umiałaby prowadzić proste życie, gdyby dostała taką szansę.

- Sprawdza się w moim życiu. A w twoim?

- Moje życie jest skomplikowane. - To delikatnie powiedziane. Jej życie jest plątaniną interesów.

- Nie mówisz o tym z radością. Nie jesteś szczęśliwa?

- To też jest skomplikowane. - Szczególnie teraz. Ale nie chciała psuć sobie takiego pięknego dnia. -Daleko jeszcze do Moany?

- Nie. Jeżeli wolisz, pójdziemy prosto do niej, ale nie zobaczysz wszystkiego. Ale mimo że masz tak skomplikowane życie, pewnych rzeczy nie powinnaś przeoczyć.

Już miała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że Grant udowodnił, że na ogół ma rację.

Zatrzymali się na urwisku, skąd było widać wodospad i kryształowo czyste rozlewisko. Kaskady wody toczyły się leniwie i rozpryskiwały na roślinach i tropikalnych kwiatkach o tak jaskrawych barwach, że musiała zamrużyć powiekami, by upewnić się, że to, co widzi, naprawdę istnieje. Ten widok niemalże odebrał jej dech w piersiach. Grant wie, co dla niej dobre, a z pewnością nie wyruszyłaby do tego miejsca, gdyby sama miała o tym decydować.

- Dziękuję - powiedziała, podziwiając, analizując i zapamiętując. - To zdumiewające.

- To są wodospady 'Aka'Aka, to znaczy śmiejące się, bo kiedy krzykniesz, echo brzmi jak śmiech. Moa-na mieszka po drugiej stronie wodospadu. Mogliśmy podejść pod sam dom, ale pomyślałem...



Już miała mu wyjaśnić, że nie zawsze żyje według wyśrubowanego planu, ale przecież wcale tak nie było. Chciałaby żyć tak jak on. Spokojnie, na luzie. Mając czas na takie wycieczki jak ta.

- Przywiozłeś mnie tutaj, żebym mogła to zobaczyć?

- Poznać, czym jest spokój, bo tego ci brakuje. Jesteś zestresowana i zmartwiona. Ja tu przyjeżdżam, kiedy chcę pomyśleć, zrelaksować się albo uciec od spraw, które mi dokuczają. Przyjeżdżałem tutaj z matką. Brała z sobą lunch i ukrywaliśmy się tu przed trudami życia codziennego.

- My nigdy nie mieliśmy czasu na pikniki. Ojciec zawsze pracował i nie było choćby chwili na coś tak... frywolnego. Nie można tęsknić za czymś, czego się nie zna.

- No to powinniśmy posmakować takiego popołudnia, jakiego nigdy nie zaznałaś. - Rozwiązał but trekkingowy i zdjął skarpetkę.

- Co robisz?

Nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął i zabrał się do rozwiązywania drugiego buta.

Przejdziemy na drugą stronę, pomyślała. Ucieszyła ją perspektywa zrobienia czegoś tak jej obcego. Usiadła i zdjęła buty, ale zauważyła, że Grant zdejmuje także szorty.

- Nie masz chyba zamiaru... - wykrztusiła, nie mogąc oderwać oczu od jego wspaniale opalonego ciała.

- Popływam. Czekam na ciebie.

- Nie mam kostiumu kąpielowego.

- Powiedziała kobieta, która nie umie się zrelaksować i cieszyć chwilą.

- Nie mam zamiaru kąpać się nago w twojej obecności. I nie staraj się mnie namawiać.



Cała ta sytuacja zbliża się zbyt blisko granicy, którą sobie wyznaczyła. Chyba Grant nie posunąłby się do tego, by ją uwieść, licząc na korzystne rozwiązanie sprawy przejęcia kliniki?

- Pokaż mi chatę Moana, to sama do niej pójde. Mówiłeś, że Moana woli, kiedy bada ją kobieta. Będiesz mógł pływać, jak długo zechcesz.

- Zgubisz się.

- Nie jestem idiotką. Dam sobie radę.

- Znowu się zachmurzyłaś. - Dotknął pionowej zmarszczki pomiędzy jej brwiami.

- Nie twoja sprawa! - Odrząciła jego rękę i zapragnęła nagle powrócić do swojego świata.

Właściwie Grant nie proponuje jej niczego zdożnego. Ta krótka kąpiel mieści się w luźnym stylu życia, jakie Grant prowadzi, ale jeżeli ona mu ulegnie, będzie jej trudno zrobić to, co konieczne, kiedy Ridgeway przejmie wreszcie klinikę. Ona stanie się jego szefową i wtedy się okaże, jak bardzo nieprofesjonalne było jej zachowanie.

- To, że mnie tu przywiozłeś i kazałeś się odprężyć, nie zmieni mojej tożsamości. I nie wpłynie na ostateczny wynik pertraktacji.

- Myślisz, że o to mi chodziło?

- Nie wiem, o co ci chodziło, i nie chcę wiedzieć.

Wskazała na wodę, kwiaty, szkarłatno-czarnego ptaka *iiwi* spijającego nektar z krwistoczerwonego kwiatu *ohia lehua*.

- Tych sześć dni miało być ucieczką od mojej sytuacji, a nie ode mnie samej. Jestem dyrektorem w Ridgeway i według ciebie za bardzo się przejmuję pracą, ale jeżeli jedynym twoim zamiarem jest zapewnienie mi odrobiny relaksu, to doceniam to. Niemniej rozbieranie się i skakanie z tobą



do wody nie zdziała cudów i nie zetrze z mojej twarzy zmarszczek, ani też nie zmieni wyniku negocjacji.

- Czyli lepiej w ogóle nie odpoczywać? Być tą samą osobą co w Teksasie, zamiast cieszyć się chwilą?

- Lepiej, żeby ta chwila nie stwarzała pokus. Wyciągnął do niej dłoń.

- Nie musisz się rozbierać do naga, i nie chodzi mi wcale o interesy.

Czy Grant mówi prawdę? Mimo wszystkich problemów, jakie ich w przyszłości czekają, chciała, by pozostał sobą. Ale ludzie prowadzący interesy przybierają różne maski.

Grant jest przemiły, chociaż uparty, i bardzo seksowny. Jak mu się udaje utrzymywać nad nią taką przewagę?

- Dziesięć minut, Susan.

- Rozumiem. Odmieni to moje życie. Zaśmiał się krótko.

- To byłoby zbyt łatwe. Może odmieni jeden dzień? Zacznijmy od małych kroczków.

- A jeżeli nie mam do ciebie zaufania?

- A ja do ciebie?

- Ja byłam z tobą uczciwa. Wiesz, kim jestem, i do czego mogę być zmuszona.

- Ja też byłem z tobą uczciwy. Powiedziałem ci, że robisz błąd, że wasze zamiary w stosunku do Kahawaii przyniosą szkodę pacjentom. Dlaczego więc, kiedy namawiam cię do kąpieli, miałbym mieć nieuczciwe intencje?

- Dziesięć minut. Niech szlag trafi twoją logikę. Wcale nie chcę...

- W takim razie najwyżej dwadzieścia minut.

- Nie przeciągaj struny! - ostrzegła go.



Temu facetowi nie można się oprzeć, i on chyba o tym wie. Co więcej, obraca to na swoją korzyść.

- Dziesięć minut to za mało. Ale po dziesięciu minutach pozwolę ci przerwać...

Zamiast obserwować, czy Susan wejdzie do wody w ubraniu, czy podda się impulsowi i rozbierze do bielizny, odwrócił się i odszedł. Była przekonana, że postąpił tak, by uszanować jej prywatność.

- Nikt nas tu nie zobaczy, prawda? - zawołała. Odpowiedziało jej milczenie. Zdjęła swój szpitalny strój - koszulę w kwiaty i niebieskie spodnie - a potem szybko wbiegła do wody. Tam poszukała wzrokiem Granta, ale on zniknął.

Najpierw zaczęła brodzić po kostki w wodzie, rozkoszując się jej chłodem, a potem weszła po kolana. Śmieszne, że spędzając przedpołudnia na plaży, ani razu nie weszła do wody tak głęboko. Zawsze była ostrożna, a teraz patrzcie, patrzcie...

- Gdzie jesteś? To ty chciałeś, żebym się znalazła w wodzie, a teraz nie popływasz ze mną?

Znowu odpowiedziało jej milczenie, i teraz już się lekko przestraszyła. Co to za gra? Grant zmusza ją do czegoś, czego normalnie by nie zrobiła, a potem z u-krycia przygląda się, jak jego przyszła szefowa robi z siebie wariatkę? Namawiał ją, by się rozebrała, żeby ją skompromitować?

Odebrała ten przyływ zdrowego rozsądku jak policzek. Co jej przyszło do głowy? To szaleństwo, zupełnie nie w jej stylu. Uwierzyła, że może się stać kimś zupełnie innym. To Grant ją do tego przekonał, a ona mu jak głupia uwierzyła.



Wściekła na samą siebie, że dała się uwieść jego czarowi, postanowiła wracać na brzeg po ubranie. Koniec z tym nonsensem. Wie, gdzie jej miejsce, i nadszedł czas, by tam wrócić.

Była już prawie na brzegu, gdy usłyszała swoje imię.

- Susan! Tutaj!

Głos dochodził z daleka. Odwróciła się, przesłoniła oczy dłonią i dojrzała Granta na przeciwległym urwisku, tuż nad wodospadem.

Stała nieruchomo i patrzyła, jak Grant zbliża się do krawędzi, ustawia się, a potem... frunie, najpierw wyginając ciało w pozycji łamanej, a potem pruje powietrze jak ptak, by wciąć się w powierzchnię wody, nie zakłócając nawet kręgami jej lustra.

Wstrzymała oddech na widok piękna jego smukłego ciała. Czysta, olśniewająca forma. Kolejny adonis, tym razem nie z plaży, lecz ze skał. Zwykle nie zwracała uwagi na mężczyzn, a teraz już dwóch przykuło jej uwagę.

Powinna być ostrożna. W tym rajku zaczęły ją nachodzić niebezpieczne myśli. Szybko pozbierała ubranie, wyjęła z kieszeni Granta kluczyki i wróciła do samochodu. Chwilę później podjechała pod frontowe drzwi małego domku, gdzie zobaczyła Granta siedzącego na tarasie.

- Posłuchaj, przemyślałam swoją decyzję i chyba nie ma sensu, żebym tu zostawała.

- Dlatego, że skoczyłem ze skały?

- To nie mój świat.

- Co masz zamiar zrobić? Zamienić Kahawaii w swój świat? Wiesz co, Susan? Boisz się, bo zdałaś sobie sprawę, że chciałabyś tu żyć. - Na pasmach jego kruczoczarnych włosów zatrzymały się kropelki wody.



Podszedł do niej i wyjął z samochodu plastikową torbę. - Może nawet bardzo.

- Bardzo chcę załatwić tę wizytę.

- O tak, wiem. Potem zadzwonisz do swoich przełożonych i poinstruujesz ich, że należy wpisać do kontraktu zakaz odwiedzania pacjentów. Jesteś dobrym lekarzem i to, co tu zobaczyłaś, zostanie w tobie. Jeżeli wrócisz do Ridgeway Medical i zarekomendujesz im inną politykę, będziesz hipokrytką, bo wiesz, czego Kahawaii potrzebuje.

- Wiem też, czego potrzebuje Ridgeway.

Urwała, bo drzwi otworzyła miła, siwowłosa staruszka i zaprosiła ją do środka. Zanim Susan zniknęła w głębi domu, wyjęła z ręki Granta torbę z konserwami.

- I nie muszę dzwonić do przełożonych, bo jestem jedną z nich. Moje panięskie nazwisko to Ridgeway.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Susan Ridgeway Cantwell.

Tego nie przewidział. Może zacząć pakować ciuchy i wysyłać swoje cv do potencjalnych pracodawców.

Można na jej korzyść zaliczyć fakt, że od momentu, kiedy prawda wyszła na jaw, nie wspomniała o tym słowem, dopóki nie wrócili do Kahawaii i nie odpracowała dwóch dyżurów. On sam przepracował jedną zmianę, a potem całą noc nie spał, szukając w internecie czegoś, co



pozwoliłoby mu nie oddać kliniki... Susan. Jak mógł pomyśleć, że ta wycieczka wszystko odmieni?

Odmieniła, tyle że na gorsze.

Co mu przyszło do głowy, by namawiać współwłaścicielkę Ridgeway Medical do kąpieli w stroju niemal Ewy? Gdyby zaplanował sobie przekreślenie wszelkich szans na zatrzymanie Kahawaii, to nie mógłby tego zrobić lepiej. Ale mimo wszystko w Susan jest coś, co dowodzi, że bliska jest zrozumienia jego filozofii życia. Widział to w sposobie, w jaki traktuje pacjentów, a także porozumiewa się z pracownikami - poza nim.

Odkąd weszła do domu Moany, do niego nie odezwała się ani słowem.

Kołatała się w nim myśl, że romans z Susan mógłby być przyjemny, ale gdyby miał się z kimś przespać, to wybrałby kobietę łatwiejszą niż ona,

Ostatnio nie wiodło mu się z płcią przeciwną. Było też oczywiste, że Susan, niezależnie od tego, czy zostanie jego przyszłą szefową, czy też nie, bardzo mu się podoba. Jest piękna, a do tego bystra. I jest dobrym lekarzem. Suma tych cech może doprowadzić do katastrofy, która zrujnuje wszystko, co sobie dawno zaplanował.

- Chyba mam specjalny pociąg do właśnie takich kobiet - mruknął pod nosem, wchodząc na pediatrię.

Jeżeli w promieniu tysiąca kilometrów znajduje się kobieta, której wybór miałby oznaczać katastrofę, on by właśnie na nią trafił. Tak stało się dwa razy. Najpierw Alana, a teraz mała Miss Korporacji, która budziła w nim takie uczucia, jak żadna kobieta dotąd. To musi doprowadzić do nieszczęścia.

- 'Eleu - zwrócił się do czarnowłosej i ciemnookiej dziewczynki, jedyne dziecko w czteroosobowej sali. - Jesteś dzisiaj grzeczna? - Znał ją i jej dziadka. Byli jego sąsiadami. Uważał, że to dobrzy ludzie. Przechodzą



trudny okres i wiele jeszcze jest przed nimi. - Słuchasz pielęgniarek? - Grant udawał radość, choć serce go bolało.

'Eleu, zwykle bystra i wygadana, dziś patrzyła na niego ze smutkiem. Przyjęto ją do kliniki tydzień wcześniej, i od tej pory powiedziała tylko kilka słów. Szok wywołany wywrotką łodzi i kontaktem oko w oko z rekinami, no i jeszcze to, co dziecko zobaczyło potem...

Jej dziadek, Ka Nui, został ciężko ranny i w stanie krytycznym przewieziono go do szpitala w Honolulu. Ledwo przeżył atak rekinów i lot samolotem, chociaż dziś nadeszła wiadomość, że po amputacji nogi jego stan zdrowia się poprawił. Stracił dużo krwi, co dla człowieka po siedemdziesiątce jest kolejną traumą.

I dlatego 'Eleu, która jest sierotą, została sama w klinice. Była samotna i przerażona. Jej obrażenia - ślady po dość głębokich, ale nie dochodzących do kości ugryzieniach - goiły się zadowalająco. Dla siedmioletniego dziecka, które przeżyło już tragedię utraty rodziców, było to szczególnie trudne. Na szczęście operacja nie stała się konieczna. Leczono ją antybiotykami i codziennie zmieniano opatrunki. Fizycznie rokowania dla 'Eleu były dobre, Grant jednak obawiał się, że największą szkodę to zdarzenie wyrządziło jej psychice. Wysoka fala spowodowała wywrotkę łodzi, potem pojawiły się rekiny, i nagle mała dziewczynka straciła poczucie bezpieczeństwa.

Życie jest takie niepewne, pomyślał Grant, wręczając małej lizaka. Niepewne i nieprzewidywalne. Często niesprawiedliwe.

Dziewczynka wzięła go i zamiast z niecierpliwością odwinąć papierek, jak zrobiłaby to większość jej rówieśników, położyła go na stoliku pośród innych, które jej zdążył przynieść.

- *Mahalo nui loa* - podziękowała mu i spojrzała w bok.



Jej głosik był taki cichutki, że prawie go nie usłyszał.

- Pójdziemy na spacer? Od tygodnia nie wychodzisz, a świeże powietrze dobrze by ci zrobiło.

Milczała, podobnie jak przez cały tydzień. Grant zaczynał się martwić tym, że tak się w sobie zamknęła. Pediatra, który przyjeżdżał dwa razy w tygodniu, zapewniał, że to się niedługo zmieni. Z czasem 'Eleu pogodzi się z dramatem i nada nowy sens wydarzeniom. Doktor Chen zalecił rutynową opiekę lekarską i zwykłą ludzką troskę. Prosił, by nie zmuszać dziecka do niczego.

- Mam tutaj wózek - oznajmił Grant, dając małej do zrozumienia, że nie oczekuje od niej, by zaczęła chodzić. Na to było jeszcze za wcześnie.

'Eleu jednak, która przyglądała mu się skrycie spod gęstych czarnych rzęs, skrzyżowała rączki i spojrzała w bok, dając mu do zrozumienia, że propozycja spaceru jej nie interesuje.

Namawiać ją, czy pogodzić się z kolejną odmową? Nie wiedział, co ma począć. Kiedy zadzwonił do Chena, usłyszał, że ma się kierować zdrowym rozsądkiem, co wiele mu nie pomogło.

Grant obawiał się, że spowoduje jeszcze większy uraz emocjonalny, zmuszając dziewczynkę do opuszczenia miejsca, w którym czuła się bezpiecznie.

- Powiedz, 'Eleu, co mam zrobić. Spodobałoby ci się na spacerze, ale nie chcę cię przestraszyć. Może wolałabyś pojechać do świetlicy i obejrzeć film? Mamy też biblioteczkę pełną książek. A może coś narysujemy? - Gdyby poprosiła go, by stanął na głowie i zaśpiewał piosenkę, też by to zrobił.

Ale ona nawet nie mrugnęła okiem. Siedziała z odwróconą głową i patrzyła w przestrzeń.



- Doktorze Etana - powiedziała Susan, która od jakiegoś czasu, stojąc w drzwiach, przysłuchiwała się jego monologowi. - Jak pan może proponować młodej damie spacer, kiedy ona tak wygląda? - Grant, zdziwiony, odwrócił się w stronę drzwi. - Jest nieuczczona, a ta szpitalna koszula! Żadna panna nie pokazałaby się w tym stanie. Prawda, 'Eleu? - Dziewczynka skinęła głową. - Musi się przebrać, zadbać o włosy, wklepać trochę ładnie pachnącego balsamu i może użyć nieco szminki... - 'Eleu gwałtownie potrząsnęła główką. - Bez balsamu? - spytała Susan, uśmiechając się do Granta.

- Bez szminki - wyszeptało dziecko. - *Kupuna kane* nie pozwala. Jestem jeszcze za mała.

Twarz Granta rozjaśnił uśmiech.

- To jej dziadek - wytłumaczył.

- To trzeba go słuchać. Żadnej szminki. A teraz - Susan zwróciła się do niego - mamy coś do zrobienia. Przyniosłam szampon, mój ulubiony, jaśminowy.

'Eleu powąchała go, a potem bez uśmiechu skinęła głową. W porządku. Pierwszy krok zrobiony. Granta bardzo ucieszyło także to, że Susan wreszcie się do niego odezwała, nawet jeśli pretekstem stała się chęć pomocy choremu dziecku.

Żadna z nich nie zauważyła, kiedy wyszedł. Dobry lekarz nie tylko zapisuje leki. Czasami ważniejsze jest podejście, a Susan jest w tym dobra, pomyślał Grant.

Dlaczego ktoś z taką umiejętnością siedzi przykuty do biurka, nawet jeżeli jest Ridgewayem? On od tygodnia próbuje kilka razy dziennie dotrzeć do 'Eleu, znaleźć coś, co by ją zainteresowało, i mu się nie udaje. A Susan



natychmiast odnosi sukces. Dziwne, że taki dar ma właśnie Miss Korporacji. Dziwne, ale ze względu na dobro 'Eleu bardzo satysfakcjonujące.

Wrócił do swojego pokoju, ochlapał twarz zimną wodą i podniósł słuchawkę, by odbyć rozmowę, której się obawiał. Jeszcze jeden beznadziejny telefon, pomyślał, wykręcając numer do swojego banku, aby zapytać urzędnika, czy jego prośba o pożyczkę została załatwiona pozytywnie. Na odmowy nauczył się już reagować bez emocji, chociaż w głębi duszy chciało mu się walić głową o ścianę.

Czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę, myślał o pani dyrektor i biednym lekarzu z małego miasteczka w sposób, który nie miał nic wspólnego z medycyną. Kogo on chce nabrać? Ich światy są tak krańcowo różne. Dobrze, że nie próbował się do niej zbliżyć. Ale to, czego dokonała z 'Eleu...

Pół godziny później Susan i 'Eleu opuściły salę. Dziewczynka przeszła istną transformację. Wprawdzie się nie uśmiechała, ale jej oczy nabrały blasku.

- Chcesz popchać wózek? - zapytała Susan. - 'Eleu zgodziła się na krótką wycieczkę do ogrodu. Z boku budynku. Tak, żeby nie było widać oceanu.

- Tak mówiła?

- Powiedziała mi nawet więcej, ale to sekret między nami dziewczynami.

- Dobrze. To jedziemy. Dołączysz do nas? - Zaprosił ją z uprzejmości, chociaż wcale nie chciał teraz jej towarzystwa. Za bardzo wytrącało go z równowagi.

Susan potrząsnęła głową.

- Muszę iść do...



'Eleu przestraszyła się i złapała Susan za rękę.

Grant omal nie jęknął. Najpierw jego kolejna prośba o pożyczkę została odrzucona, a teraz, po tym, do czego omal nie doszło przy wodospadzie...

Im więcej czasu spędzi z Susan, tym większą zyska szansę na zrobienie z siebie głupca. Ale przynajmniej nie zostaną ze sobą sam na sam.

Gdyby był sprytny, sam udałby się do innego pacjenta i uciekł od Susan. Ale chciał poobserwować 'Eleu, szczególnie teraz, gdy zaczęła reagować. Wlókł się więc za nimi, przysłuchując się, jak Susan śmieje się swobodnie... Nie widział jej twarzy, ale na pewno wygląda na szczęśliwą.

Czy ta kobieta nie zdaje sobie sprawy, co jej przynosi szczęście? Co skłania ją do konstatacji, że na nie nie zasługuje? Jest obowiązkowa, wykonując pracę, której on zupełnie nie rozumie, ale nie jest szczęśliwa.

Co go to obchodzi? Susan wykupi klinikę i poprowadzi ją według zasad Ridgeway Medical, a on musi przywyknąć do tej myśli i patrzeć na nią jak na kobietę biznesu. Szaleńczo pociągającą, ale również zdolną go zniszczyć.

- Macie ochotę na lody? - zaproponował, by odwrócić swoją uwagę od tej kobiety.

- Jakie chcesz? - Susan zwróciła się do 'Eleu.

- Jagodowe? A może winogronowe? - zaproponował Grant.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Wiśniowe? - zapytała cicho.

Zdumiewające, pomyślał, idąc w stronę wózka z lodami nieopodal kliniki. Nie chciał myśleć o Susan, ale nie mógł się przed tym powstrzymać, tak, jak nie mógł się nadziwić, czego dokonała z 'Eleu.

Susan Ridgeway Cantwell jest zdumiewająca.



- On jest świetnym lekarzem, ale ostatnio ma za dużo na głowie - stwierdziła Laka, kiedy wieczorem, popijając sok, siedziały na tarasie domku dla gości, w którym Susan zamieszkała, by być bliżej kliniki.

Przepracowała cały dzień i zgodziła się, po krótkim odpoczynku, na nocny dyżur w izbie przyjęć. Jak dotąd spędziła w pracy więcej godzin niż kiedykolwiek, ale nie mogła się doczekać następnych. Coraz bardziej lubiła opiekę nad pacjentami i tylko dlatego nie opuściła wczoraj kliniki po rozmowie z Grantem.

Łatwo byłoby po prostu wyjść i wrócić za kilka tygodni jako dyrektor do spraw medycznych, aby wdrożyć procedury Ridgeway Medical. Jednak prawdziwe obowiązki lekarskie przynosiły jej taką satysfakcję, że nie chciała z nich rezygnować.

- Nie wiem, co gnębi doktora Etanę - ciągnęła Laka - ale wydaje mi się, że chodzi o finanse. Słyszałam, że są jakieś problemy, ale on nam nic nie mówi.

Susan poczuła się winna. Ale biznes to biznes, a przejęcie Kahawaii przez prywatny szpital w Honolulu jest przygotowywane od miesiąca.

- Rzeczywiście ma dużo na głowie - potwierdziła Susan. - Bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki. - No cóż, gdy klinikę przejmie korporacja, życie wielu ludzi się odmieni. - Wszystko się ułoży...

Choć nie tak, jak Grant by sobie tego życzył, i to ją martwiło bardziej, niż powinno.

Gawędziły jeszcze przez kilka minut, a potem Laka wstała, żeby wyjść.

- Jeżeli potrzebuje pani czegoś...

Ale tego, czego Susan potrzebowała, Laka nie mogła jej zapewnić.

- Dziękuję. - Miło jest mieć przyjaciółkę. To taka rzadkość.



Jasne, że kiedy wyjdzie na jaw, co Susan Ridgeway ma zamiar zrobić, nastawienie Laki wobec niej się zmieni. Tak jednak jest w jej świecie, ale dziś wieczorem nie czuła się z tym dobrze.

Gdy Laka wyszła, Susan spojrzała na zegar. Ma jeszcze sześć godzin do rozpoczęcia dyżuru, ale nie chciało się jej spać. Kolację zjadła w klinice, więc teraz mogła tylko siedzieć i roztrząsać swoje problemy. Miała mętlik w głowie, bo ciągle coś się zmieniało.

Nagle zapragnęła się przejść. Spacer pomoże jej pozbyć się stresu i może ułatwi drzemkę przed powrotem do pracy. Zamiast siedzieć i narzekać, pójdzie w kierunku plaży, tak aby nie stracić z oczu świateł kliniki. Wzięła ze sobą ręcznik na wypadek, gdyby chciała odpocząć i poobserwować nocne życie oceanu, po czym ruszyła wydeptaną ścieżką ku nieuczęszczanej części plaży, odległej od miejsca, z którego obserwowała surfującego Granta i na której zmarł Ryan Harris.

Tam nie chciała jeszcze chodzić, podobnie jak 'Eleu miała wciąż uraz. Rozumiała, co dziewczynka czuje.

Nie była gotowa zmierzyć się ze swym strachem, i miała do tego prawo.

Susan jednak jest dorosła, toteż w jej przypadku próby ucieczki od leków są takie... żalosne. Dziecko przeżyło wielką stratę, ale jest *kekoa*. Trzeba mu tylko dodać otuchy, czegoś konkretnego, czego mogłoby się trzymać. Leczenie w sensie fizycznym to jedno, ale 'Eleu potrzebuje czegoś więcej. Może zapytać doktora Chena, czy można zabrać małą do Honolulu, by zobaczyła dziadka i znowu poczuła się bezpiecznie? Mogłaby sama ją tam zawieźć.

Czyżby dała się przekonać do wizyt domowych? Ten przypadek był uzasadniony, tak jak wypadek do Moany, i nie ma w tym żadnej hipokryzji.



Wcale nie jest tak, że wierzy w jedno, a robi drugie. Ale pewnie Grant by tak powiedział, i jeszcze dodał, że chociaż Susan jest przeciwna traceniu czasu, to teraz spaceruje po plaży, i to z wielką przyjemnością.

Obawiała się, że Grant wywiera na nią coraz większy wpływ, na skutek czego jej rozsądek się rozmywa. Oczywiście, może to być spowodowane romantycznym oddziaływaniem rajskiego krajobrazu i biologicznego popędu. A do tego Grant jest niebywale przystojny i czarujący. Jej reakcja jest najzupełniej naturalna.

Istniało jednak jeszcze coś, czego nie potrafiła ująć w słowa czy nawet logicznie sformułować. To coś było tak odległe od jej normalnego życia, że nawet nie wiedziała, czy chce się nad tym zastanawiać. Dlatego przyspieszyła, starając się skupić myśli na czymś innym. Bo jeżeli się jej nie uda...

Spacerowała brzegiem oceanu, zaabsorbowana szukaniem muszelek, chociaż w ciemnościach nie można było ich dostrzec, kiedy jej uwagę przyciągnęła jakaś sylwetka. Z daleka rozpoznała Granta.

Imponująca postać, i to nie tylko w fizycznym znaczeniu tego słowa. On roztacza wokół siebie jakąś aurę. Spokój i siłę. Nie taką jak mężczyźni w jej świecie, którzy wywalczyli sobie drogę do szczytu. Nawet nie taką, jak jej ojciec. Grant jest niezłomny w swoich przekonaniach. Zazdrościła mu tego, bo sama nie u-miała znaleźć odpowiedzi na dręczące ją problemy.

Postanowiła mu nie przeszkadzać, ale zanim zdążyła wrócić na ścieżkę wiodącą do jej domku, on już do niej pomachał. Instynktownie i bez wahania skierowała się w jego stronę.

- Jaka piękna noc - zaczęła, czując narastające zdenerwowanie. Problem z Grantem też powinna rozwiązać.



- Przepraszam za wszystko, co powiedziałem o Ridgeway. Nie chciałem cię urazić, ale byłem... wściekły.

Przeprosiny Granta brzmiały szczerze.

- Rozumiem, co czujesz, a w twoich słowach było trochę racji. - Prawdę mówiąc, sporo. Rzeczywiście ona myśli jak przedstawicielka korporacji, i instynktownie zawsze broni jej polityki.

- To sprawa osobista, ale to mnie nie usprawiedliwia. Czy mogłabyś jednak wziąć pod uwagę... pewnie popsuję wszystko... marzenia doktora Kahawaii?

I moje.

- Grant, nie chcę zniszczyć kliniki, tak jak się obawiasz. Ani ciebie. Nie mamy takich zamiarów, ale prawda jest taka, że niektóre *rzeczy* się zmieniają. Bo muszą. Będziesz pewnie zadowolony, jeżeli się dowiesz, że mnie też jest trudno. Podoba mi się sposób funkcjonowania Kahawaii i gdyby to tylko ode mnie zależało, nie podjęłabym takich drastycznych decyzji, jakich się obawiasz. Ale jestem jedną z wielu osób w zarządzie i moje nazwisko nie ma aż takiego znaczenia, jak by się wydawało. Może kiedyś tak się stanie, ale na razie jeszcze sobie na to nie zapracowałam. Przykro mi.

- Myślałaś kiedyś o powrocie do zawodu? Jesteś dobra. Pacjenci cię uwielbiają.

Ta sprawa staje się coraz bardziej bolesna.

- Kiedy poszłam na medycynę, nie miałam zamiaru zostać praktykującym lekarzem. Mój ojciec, i jego ojciec, który założył Ridgeway Medical, uważali, że najlepszymi menedżerami medycznymi są lekarze z pełnym wykształceniem medycznym. Zgadzam się z nimi i dlatego poszłam na studia. Przygotowywano mnie do podjęcia odpowiedzialności. Ty masz



swoje dziedzictwo tutaj, a ja mam swoje tam. Mogę zasłaniać się nazwiskiem po mężu i udawać, że czyni to jakąś różnicę, ale i tak pozostanę dyrektorem w Ridgeway Medical. To jest częścią mnie, tak jak twoje sandały są częścią ciebie.

Nie chciała, by Grant myślał, że jest jednym z tych bezdusznych menedżerów, którzy podejmują arbitralne decyzje dla własnego widzimisię.

- Ale to nie jest łatwe, prawda? - Wyciągnął rękę i palcem wygładził jej zmarszczone czoło.

- Mam swoje zobowiązania. To, co robię, może ranić wiele osób, tak jak ciebie. Ale pragniemy tego samego: chcemy zapewnić pacjentom dobrą opiekę.

- Mogłabyś zostać pediatrą, *kekoa*. Mieć własną praktykę i cały dzień dokonywać takich cudów, jak ten z 'Eleu. Czy chociaż wiesz, że masz dar? Poczula rozbawienie.

- Ja miałabym pracować z dziećmi? W życiu! Mam o nich jedynie podstawową wiedzę medyczną. No i się ich boję.

- Ależ masz wrodzony talent. Byłabyś wspaniałą matką, gdyby twój korporacyjny świat udzielił ci urlopu. Czy ktoś już ci to mówił?

Zatkało ją, bo jej były mąż zawsze twierdził, że jako matka byłaby okropna. We wczesnym stadium ich małżeństwa zdecydował za nich oboje, że nie będą mieli dzieci i zaproponował, by jedno z nich poddało się operacji... wazektomii albo podwiązaniu jajowodów, tak, aby nie było niespodzianek. Nie protestowała, ale też nie poddała się zabiegowi, chociaż często zastanawiała się, co go skłoniło do takiej konstatacji, bo przecież nigdy nie widział jej w kontakcie z dziećmi. Może tylko chciał utrzymać w ten sposób niezakłócony status związku dwojga profesjonalistów? Wcale



jednak nie wierzyła, że partnerskie małżeństwo wyklucza dobre rodzicielstwo. Ale to jest już poza nią.

- Dzieci? Nie, to nie dla mnie. Pomogłam dzisiaj 'Eleu, ale nic więcej nie potrafię. Mogę ładnie uczesać dziewczynkę, wybrać sukienkę, traktować ją tak, jak sama bym chciała być traktowana w takich okolicznościach, ale na tym kończy się mój talent.

- I nigdy nie myślałaś o własnych dzieciach?

Jej biologiczny zegar tykał i wiele razy myślała o tym, by zostać samotną matką. Ale wolała, żeby to się odbyło w tradycyjny sposób, żeby dziecko miało prawdziwego ojca. Sama nie miała matki, kiedy dorastała, i dlatego obecność obojga rodziców była dla niej ważna. Jak pogodziłaby długie godziny spędzane w biurze z byciem matką? Któż wie lepiej niż ona, jak to jest być zaniedbywaną?

- Nie potrzebuję dzieci. Zastępują mi je moi pracownicy.

Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to banalnie, ale nie może się przecież przyznać do marzeń, które prawdopodobnie się nie spełnią.

Grant wziął od niej ręcznik i rozpostarł go na piasku, tuż nad linią przypiływu.

- Dobrze, że twoi rodzice tak nie myśleli - zauważył, gdy usiadła obok niego, starając się go nie dotykać. On na jednym końcu wielkiego ręcznika, ona na drugim. Zachowywali się bardzo przyzwoicie, bo to mieściło się w granicach jej dobrego wychowania.

- A ty? Masz braci lub siostry?

- Jestem jedynakiem. Mama miała mnie dosyć, przynajmniej zawsze tak mówiła.

Susan roześmiała się.

- To prawda. Byłeś niegrzecznym dzieckiem.



- Wolałbym, żebyś powiedziała, że zachowywałem się swobodnie.

- A jaka była prawda?

- Byłem dzikusiem. Mama pracowała jako pokojówka w hotelu, a w wolnym czasie brała do domu pranie. W sezonie pracowała na plantacji ananasów. Nie mogła mi poświęcać wiele czasu, a ja to wykorzystywałem. Wielu rodziców starało się trzymać swoje dzieci z dala ode mnie, żeby nie wyrosły na kogoś takiego jak syn pani Makela.

- Widzę jednak, że wyszedłeś na ludzi. Mama mieszka gdzieś blisko?

- Zmarła, kiedy byłem na trzecim roku studiów.

- Och, Grant! Jak mi przykro. - Pochyliła się i położyła dłoń na jego przedramieniu. - Nie wiedziałam...

- W porządku. Była zdumiewającą kobietą.

- Ja nie znałam mojej matki. Umarła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, a mój ojciec nigdy o niej nie mówił. Chyba nie wiedział, jak się zachować. Dla mnie macierzyństwo to coś bardzo dziwnego.

- Tak jak dla mnie ojcostwo, bo nie miałem ojca. Nawet nie próbował się dowiedzieć, czy ma syna czy córkę. Uciekł, gdy tylko się zorientował, że małżeństwo wiąże się z odpowiedzialnością.

- No to coś nas łączy. Oboje zostaliśmy wychowani przez samotnych rodziców.

Matka Granta musiała być niezwykle opiekuńcza i dlatego Grant ma w sobie tyle ciepła. Szkoda, że jej ojciec był taki chłodny. Ale na jego obronę mogłaby powiedzieć, że kiedy został sam z małym dzieckiem, nie uciekł przed obowiązkami. Wykonywał je najlepiej, jak potrafił.

- Czy to ona zachęcała cię, żebyś studiował medycynę?

- Doktor Kahawaii wynajdywał mi różne zajęcia w klinice, żebym nie pakował się w kłopoty. I to zaważyło na moim wyborze, bo odkryłem, co



lubię. Mama mnie wspierała. Gdybym wybrał pracę na plantacji ananasów, też by mnie wspierała. Pragnęła tylko, żebym był szczęśliwy, i pracowała cholernie ciężko, żebym zdobył to, na czym mi zależało.

- I dlatego tu wróciłeś...

- Tak. Przyznaję, że kusiło mnie, żeby znaleźć pracę w mieście. Po stażu miałem kilka ciekawych propozycji, ale nie traktowałem ich serio. Dom... to dom. Tu jest moje serce.

To był koniec rozmowy, bo Grant wstał i odszedł. Po kilku krokach odwrócił się i zawołał:

- Jutro się spóźnię. Mam coś ważnego do załatwienia. -I wolnym krokiem odszedł, pozostawiając ją samą na ręczniku. Patrzyła na niego, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Dziwny człowiek. Interesujący. I niech jej Bóg dopomoże, bo była pewna, że się w nim zakocha.



ROZDZIAŁ ÓSMY

- Potrzebuję jeszcze tylko sześciu miesięcy - rzekł Grant niezbyt przekonującym tonem.

Nie miał żadnej szansy na pożyczkę czy dotację. Zabrakło mu trochę szczęścia i czasu.

- A co potem? - spytała pani Kahawaii. - Czy zagwarantujesz, że zdobędziesz całą sumę? Albo jej część? - Leila Kahawaii wbrew sobie musiała podjąć tę decyzję. Grant to rozumiał i jej współczuł.

- Nie mam żadnej gwarancji - odparł zgodnie z prawdą. - Nie osiągamy zysków, właściwie to ledwo wychodzimy na swoje, więc nikt nie chce nas sponsorować, chociaż wszyscy nam współczują. Zwracałem się, do kogo tylko mogłem, ale nic nie wskórałem. Dla dobra kliniki proszę panią o przedłużenie terminu. -I ze względu na pamięć o mężu. Ale tego nie chciał dodawać, bo starszej pani i tak było ciężko.

- Etana, wiesz, że chciałabym uszanować życzenie mojego męża i sprzedać klinikę tobie. Nie żałowałam, że się poświęcam, żeby tylko mój mąż mógł ją utrzymać, ale teraz, kiedy odszedł, czas na zmiany. Poza nią niewiele mi zostawił, więc muszę ją sprzedać. Wiem, że ty byś kontynuował jego dzieło, ale ja nie mam wyjścia. Albo kupisz klinikę teraz, albo sprzedam ją komuś innemu. A sam wiesz, że mam dobrą ofertę.



Nie obwiniał jej za to, co zamierzała zrobić. Przez ostatnich sześć miesięcy była bardzo cierpliwa. Ale klinika, zapóźniona w rozwoju o dwadzieścia pięć lat, z przestarzałym wyposażeniem, miała tylko jeden atut - została wybudowana na przepięknej działce.

- Wszystko się zmieni - powiedział tonem pozbawionym smutku, bo nie chciał, by pani Kahawaii poczuła się jeszcze gorzej. - To nieuchronne.

Marzenie jej męża, które stało się jego marzeniem, miało zostać zaprzepaszczone, i nie mógł nic na to poradzić. Skierował swój gniew na Alanę. I na siebie. Przecież mógł się zorientować, co jego żona knuła!

Do Susan nie czuł żalu. Susan ma zadanie do wykonania, chociaż jemu się ono nie podoba.

- Ale pracę masz zagwarantowaną. Rozmawiałam z prawnikiem. Jeżeli przyjmę ofertę tamtej firmy, postawię im ten warunek. Chciałabym, żebyś pozostał szefem, ale wyjaśniono mi, że nowy właściciel kliniki prawdopodobnie zatrudni nowych ludzi, więc tego nie mogę ci zapewnić. Jeżeli zechcesz, to mogę wynegocjować dla ciebie lepsze wynagrodzenie niż to, które teraz otrzymujesz, bo wiem, że twoja praca jest znacznie więcej warta.

Nie dla pieniędzy tu pracował. Kiedy skończył medycynę, oferowano mu posady z miesięczną pensją wyższą niż to, co zarabiał tu przez rok. Nigdy go to nie kusilo, bo na wyspie miał wszystko, na czym mu zależało, a życie w zgodzie z ideałami jest wspaniałe. Większość ludzi nie ma takiego szczęścia.

Niestety, jego szczęście się kończyło.

- Doceniam, że stara się pani mi pomóc, ale jeszcze nie wiem, co będę chciał robić.



- Przykro mi, Etana. Wiem, że mój mąż chciał przekazać klinikę w twoje ręce. Gdybym nie potrzebowała pieniędzy, chętnie bym poczekała, ale nie mam wyboru. Sama nie mogę prowadzić kliniki, bo nie jestem lekarzem i nie znam się na interesach, a prawdę mówiąc, na tym etapie życia nie potrzebuję takiej odpowiedzialności. Mój mąż poświęcił dla niej życie i szanuję jego pamięć, ale sam szacunek nie pomoże mi przenieść się na Maui, bliżej córki i wnuków.

A więc to koniec Kahawaii, jaką znał i kochał.

- Rozumiem - odparł, starając się ukryć gorycz. - Niech mnie pani źle nie zrozumie, ale proszę nie stawiać warunków co do utrzymania mojego stanowiska. Nie wiem jeszcze, co chcę robić, i wolałbym nie być związany kontraktem, zwłaszcza że zajdą tu zmiany.

Przypomniał sobie zdumienie Susan wywołane tym, na co sobie pozwalano w Kahawaii: lekarze nie nosili fartuchów, nie pobierano opłat od ubogich. Susan to zmieni, a on wiedział, że nie będzie mógł na to patrzeć.

- Zatrzymają nazwę kliniki?

- Zapytam. Byłoby miło, gdyby upamiętnili jakoś mojego męża.

- To prawda - odparł.

Wiedział jednak, że tak się nie stanie. Wielka medycyna w wydaniu Ridgeway Medical kieruje się własnym interesem, a uhonorowanie założyciela małej kliniki nie należy do jej priorytetów.

A Susan też należy do świata wielkiej medycyny.

- Możemy wezwać helikopter? - zapytała Susan. Kuli Aolani była w dziewiątym miesiącu ciąży i przyjechała do kliniki dwadzieścia minut temu. Bóle pojawiały się co minutę-dwie, trwały sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu sekund, i jeżeli Susan dobrze pamiętała, to rozwarcie było stanowczo za małe jak na ten etap porodu. Trzy centymetry plus



skurcze i bóle, to nie ma sensu. Szczególnie że Kuli odczuwała potrzebę parcia, chociaż jej ciało wcale nie było przygotowane do wydania dziecka na świat.

- Nie ma na to czasu - odpowiedziała Laka znad monitora. - Akcja serca słabnie. Sto dwadzieścia.

- Nie mogę zrobić cesarskiego cięcia - wyszeptała Susan, siadając na taborecie tuż obok ciężarnej i licząc na cud, ale rozwarcie się nie poszerzało.

Zbadała brzuch i stwierdziła, że dziecko ułożyło się do porodu.

- Kiedy Grant wraca?

- Nie mówił.

- A doktor Chen?

- Pojechał do Honolulu dwie godziny temu. Akcja spadła do stu dziesięciu. Wezwę helikopter, ale chyba nie mamy czasu. Mam kwalifikacje położnej, ale tylko do porodów siłami natury.

Kwalifikacje Susan też były ograniczone, teraz jednak nie miała wyjścia.

- Robiłaś znieczulenie zewnątrzoponowe? - spytała z nadzieją w głosie, bo zwykle nie należało to do obowiązków pielęgniarek.

Laka skinęła głową.

- Robiłam to dla doktora Etany.

- Nie chcę znieczulenia! - zawołała Kuli.

- To sprawa kulturowa - wyjaśniła Laka. – Kobiety na Polinezji uważają, że nie powinny wyrażać bólu podczas porodu, że powinny go wytrzymać. Tak im nakazuje duma.

Susan wzięła Kuli za rękę, by wyjaśnić dziewczynie sytuację. Miała niespełna osiemnaście lat, było to jej pierwsze dziecko, a mąż wydeptywał ścieżkę w podłodze poczekalni. Gdyby klinika należała do Ridgeway



Medical, to z pewnością na dyżurze byłoby więcej lekarzy. Ale czasami życie przerasta procedury.

- Posłuchaj, Kuli. Dziecko chce już przyjść na świat, a ty jeszcze nie jesteś gotowa.

- To poczeka.

- Nie może czekać. To ma być chłopiec czy dziewczynka? Doktor Etana mówił ci?

- Powiedział, że chłopiec, bo mocno kopie.

- Wybrałaś już z mężem imię?

- Podoba się nam Ali'ikai. To znaczy król mórz.

- Pięknie. Twój syn nie może się urodzić w naturalny sposób i im dłużej będziemy czekać, w tym większym znajdzie się niebezpieczeństwie.

Wiesz, co to jest cesarskie cięcie?

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Muszę natychmiast cię operować. - Podczas stażu na położnictwie wykonywała ten zabieg kilka razy. Nie był trudny, ale minęło tyle czasu!

- Nie możemy zaczekać?

- Zaszkoziłybyśmy dziecku. Ale muszę cię znieczulić. Rozumiesz?

To dla dobra synka.

- Ufam pani. - Te słowa, zamiast pocieszyć Susan, potwornie ją przestraszyły.

Nadszedł czas. Na monitorze akcja serca dziecka spadła do stu uderzeń na minutę. Susan dała znak Lace, która przygotowała już zestaw do znieczulenia.

- Poczujesz ucisk, ale nie będzie bolało. I podczas porodu nie będziesz spała.

- Dziękuję - wystękała Kuli.



Susan wybiegła z sali, aby wyjaśnić mężowi, co się dzieje, a potem umyć się do zabiegu. Dogonił ją odgłos alarmu z monitora.

Gdy wróciła na porodówkę, sprawiała wrażenie opanowanej, choć w duchu bała się jak wszyscy diabli.

- No to do roboty - rzekła. - Czy Kuli jest gotowa?

- Gotowa, pani doktor - odparła Laka.

- Tlen?

- W porządku, pani doktor.

Susan zdecydowała, że najlepsze będzie cięcie pionowe. Położnicy zwykle robią cięcie poziome, ale ona nie mogła sobie pozwolić na luksus zastanawiania się, jaka blizna będzie mniej widoczna.

Jedna z pielęgniarek posmarowała brzuch Kuli środkiem odkażającym. Susan wzięła głęboki oddech i nacięła powłokę brzuszną, po czym odsunęła narządy wewnętrzne i dostała się do macicy.

- Super - zwróciła się do Kuli, która zgodnie z tradycją zachowywała się spokojnie. - Jeszcze dwie minuty i zostaniesz mamą.

Kolejnym cięciem przerwała pęcherz płodowy i zaczęła wydobywać dziecko.

- Jaki wielki chłopak! - zawołała i zagryzła wargi aż do krwi. Dziecko nie oddycha!

Rzuciła błagalne spojrzenie Lace, która dopiero wtedy zauważyła, że maleństwo nie płacze.

Susan zawinęła noworodka w kocyk, przeczyściła drogi oddechowe gruszką i spróbowała pobudzić oddychanie uszczypnięciem stopy i klatki piersiowej. Kiedy to nie pomogło, założyła mu maskę tlenową. Nie było rezultatu. Rozpoczęła masaż klatki piersiowej, a Laka założyła wenflon. Susan nigdy nie reanimowała dziecka, nie mówiąc już o noworodku, a przed



oczami stanął jej obraz reanimowania Ryana Harrisa. Po trzydziestu sekundach szansa na uratowanie chłopczyka zmaląła.

- Jedna setna miligrama epinefaryny. Szybko. I EKG.

- Co z moim dzieckiem? - krzyknęła Kuli. Susan przerwała reanimację i zbadała puls.

- Dodaj jeszcze jedna setną... - Włożyła stetoskop i podniosła rękę, by uciszyć personel.

Usłyszała bicie serca. Najpierw powolne, potem szybsze. Ali'ikai powrócił do życia.

- Przetnij pępowinę - zdążyła powiedzieć, kiedy trzasnęły drzwi porodówki i usłyszała kroki.

- Ja to zrobię - oznajmił Grant - i zaszyję, a ty zajmij się, proszę, dzieckiem.

- Jest śliczny - szepnęła Kuli do ucha. - To najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam.

- Naprawdę? - zapytała dziewczyna przez łyzy.

- Ale będzie uparty, sądząc po tym, jak się rodził. I będzie lubił zwracać na siebie uwagę.

Susan podała oddychającego samodzielnie noworodka matce.

- Wszystko w porządku, ale trzeba go dotlenić. Wyślemy go na kilka dni do Honolulu na obserwację. Ale teraz trochę go potrzymaj.

- Czy on wie, że jestem jego matką?

Susan przyglądała się, jak chłopczyk wtulił się w dziewczynę. Pięć minut temu był umierający, według niektórych definicji nawet martwy...

W tym momencie, po raz pierwszy w życiu, zastanowiła się szczerze, jak by to było mieć własne dziecko. Potrzebujące jej tak jak Ali'ikai potrzebuje Kuli. Grant mówił, że byłaby dobrą matką.



Wyobraziła sobie, jak tuli do piersi... syna Granta. Szybko otrząsnęła się z tej myśli.

- Wie. Na pewno wie.

- Kuli i Keoki są tacy młodzi - powiedział Grant, osuwając się na krzesło tuż obok Susan. - Dwa razy młodszy ode mnie.

Susan, zupełnie wyczerpana, siedziała tu od półtorej godziny, podczas gdy Grant zajął się młodą matką i noworodkiem, a potem załatwił im transport do Honolulu. Dziecko było w dobrym stanie. Kopało i krzyczało bardzo energicznie jak na swój wiek. Wyglądało na to, że poród był trudny tylko dla matki. Ale ona też czuła się dobrze i nie pamiętała już o swoich kłopotach.

- Kiedy byłam w ich wieku, to nawet nie myślałam o małżeństwie, a oni do tego mają jeszcze dziecko - odparła ze znużeniem.

Oparła stopy na drugim krzeselku, starając się dojść do siebie fizycznie i emocjonalnie. Co za dzień! Przyjęła poród, i to taki ryzykowny. Była z siebie dumna. Gdyby ją ktoś teraz zapytał, czy zrobiłaby to jeszcze raz, powiedziałaby, że nie. Chociaż gdyby musiała, gdyby nie było innego wyjścia...

- To takie dziwne, że ludzie mają zupełnie różne priorytety. Kuli mówiła mi, że zawsze chciała tylko być matką, i założyłam, że mimo tak trudnego porodu będzie miała więcej dzieci. Czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie pomogłam przyjść na świat dziecku?

- To twój pierwszy poród?

- Odbywałam praktykę na położnictwie, ale nie miałam się w tym specjalizować, więc moje doświadczenie było ograniczone. Czy ty też tak przeżywasz, kiedy rodzi się człowiek?



- Pomogłem się urodzić ponad setce dzieci i zawsze jest to coś wspaniałego. Dobra robota, Susan. Przykro mi, że nie wróciłem wcześniej, ale Kuli miała rodzić dopiero za trzy tygodnie. Gdybym sądził, że to nastąpi wcześniej, nie zostawiłbym kliniki bez lekarza.

- Bez lekarza? - oburzyła się. - A ja? Wstała, by wyjść, zanim się znów pokłóca.

- Przepraszam, miałem trudny dzień, jeden z najgorszych w życiu, i z góry przepraszam, jeżeli znowu powiem coś niewłaściwego.

Na jego twarzy istotnie malowało się napięcie. Myślała, że to z powodu Kuli, ale widocznie nie o nią chodziło.

- Aż tak źle?

- Źle albo jeszcze gorzej.

Nie rozwijał tematu, więc pomyślała, że to nie jej sprawa, ale ciekawość wzięła górę.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? Grant potrząsnął głową.

- Wygrałaś. Ale nie jestem pewien, czy zamienię sandały na normalne buty.

Wstał i wyszedł, zostawiając ją dumną ze swojej pracy, ale też zaniepokojoną jego trudnościami. Widocznie stracił już nadzieję na kupno kliniki. Nie była zadowolona ze swojego zwycięstwa. W głębi duszy liczyła na cud. Ale nie nastąpił, a ona nie wiedziała, co ma teraz zrobić.

W komórce były dwadzieścia trzy wiadomości. Ojciec na pewno jest wściekły. Dzwoniła do niego kilka razy nocą, wiedząc, że nie odpowie, i zostawiając wiadomości, że wszystko u niej w porządku. Z rozmysłem nie odsłuchiwała jego nagrań, bo wiedziała, czego będą dotyczyły. Ale teraz ogarnęło ją poczucie winy. Trudno pozbyć się starych przyzwyczajień.



Bez zastanowienia chwyciła komórkę i wybrała prywatny numer ojca. Odebrał natychmiast.

- Gdzie ty, do cholery, jesteś? - krzyknął. Dobrze, że przewidziała jego reakcję, i trzymała telefon z dala od ucha.

- Na wakacjach, żeby od tego odpocząć.

- Nie oddzwoniasz! - Trochę się uspokoił, ale nie na tyle, by się nie zorientowała, że jest w fatalnym humorze.

- Bo wiem, czego się spodziewać. Jeżeli jesteś ciekaw, to dobrze się bawię.

Usłyszała ciężkie westchnienie.

- Wiem, że obiecałem ci trochę wolnego...

- Od trzech lat proszę tylko o kilka dni.

- Ale dlaczego właśnie teraz, kiedy rozmawiamy z grupą medyczną na Oahu w sprawie przejęcia? Nie mogłaś poczekać?

- Czekałam, ale ciągle coś się działo, a ja potrzebuję odpoczynku. Nie martw się, zrobię, co do mnie należy. Przyjadę na spotkanie do Honolulu. Nigdy cię nie zawiodłam. - Nie potrafiła nawet się rozgniewać. Może ta hawajska atmosfera zaczęła już na nią działać?

- Jesteś jakaś dziwna. Czy coś się stało?

Czy obchodziłoby go to, że utraciła jedno życie, a drugie ocaliła? Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, jej ojciec był lekarzem, dziś jednak medycyna stała się dla niego biznesem.

- Zażywam zasłużonego odpoczynku, odrabiam zaległości w czytaniu, podziwiam widoki.

- Gdzie jesteś?

- Na Hawajach.

Zamilkł na chwilę. Pewnie chce się uspokoić, pomyślała.



- A nie zechciałabyś przyjrzeć się czemuś, co prawdopodobnie kupimy? To szpital i kilka związanych z nim klinik...

- Wiem. Obwodowy, w Bayside. Czytałam ich informator, sprawdziłam raport na temat zakresu usług medycznych i szczegóły dotyczące klinik, które przejmujemy. Ale nie będę się niczemu przyglądać.

Podobała się jej praktyka lekarska w Kahawaii i nie chciała dać się przedwcześnie wciągnąć w negocjacje. Nie zostało jej już dużo czasu i nie zamierzała z niczego rezygnować.

- Przyjadę, kiedy tam będziesz, a na razie jestem na wakacjach. -
Można tak to określić.

Ojciec nie odpowiedział od razu. Chyba nie wiedział, jak się ma zachować. Susan nigdy mu się nie przeciwstawiała. Zwykle żądał czegoś, a ona z tym się godziła. Taka była dynamika ich stosunków. Był tego świadomy, i zawsze to wykorzystywał. I teraz pewnie zastanawia się, jak zmanipulować córkę, która nie chce się szybko poddać jego woli.

Ona tymczasem polubiła poczucie samodzielności i odwagi. Nie znaczy to, że przedtem była cicha jak myszka i zdominowana, bo nigdy nie uważała, że nie dorasta do wyzwań. Może nie była tak doświadczona jak inni, ale była dobra w tym, co robi. Nie przepadała za swoją pracą i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jaka jest różnica między tym, co robi od kilku dni, a tym, czym się zajmowała przez ostatnie lata.

Jest dobra w biznesie, ale to jej nie zadowala. Ku swemu zdumieniu uczucie spełnienia znalazła w praktykowaniu medycyny. Dało jej to poczucie przewagi, nawet nad własnym ojcem.

- Susan, odnoszę wrażenie, że o czymś mi nie mówisz - powiedział w końcu.



Nie nadszedł jeszcze czas, by mu się zwierzać, zresztą to nie rozmowa na telefon. Przez chwilę zastanawiała się, co by się stało, gdyby zakomunikowała mu, że zdecydowała się tu zostać i pracować jako lekarz w jednej z klinik. Oczywiście, że nie byłoby to możliwe, ale jak ojciec by zareagował? Jakich by użył argumentów? A może wsparłby ją, szczęśliwy, że jego córka będzie robić to, co kocha?

- Nic ważnego. Poznałam miłych ludzi i dobrze się bawię. A może, po załatwieniu sprawy przejęcia, kupimy tutaj apartament, żebym mogła od czasu do czasu przyjechać?

Popracowałaby jako wolontariuszka. Odwiedzałaby Granta, choć nie była pewna, czyby mu na tym zależało. Szczególnie kiedy sytuacja się zmieni i Kahawaii stanie się własnością Ridgeway Medical.

- Rozejrzyj się, kochanie. - Głos Waltera złagodniał. - Poszukaj czegoś ładnego, to kupimy. Właściwie to myślałem o tym, że byłoby miło mieć apartament na Hawajach i od czasu do czasu spędzać tam wakacje.

Susan wybuchnęła śmiechem.

- A od kiedy to jeździsz na wakacje? - przekomarzała się z nim zadowolona, że napięcie między nimi osłabło. Często się kłócili, ale mimo to lubiła go jako ojca. - Ostatni twój urlop to krótka podróż na Bermudy, i jak długo trwała? Półtora dnia?

- Dobrze, dobrze, może mam obsesję - przyznał - i wolę pracować.

- Nie martw się o mnie. Jestem przygotowana do negocjacji i obiecuję, że będę odbierać twoje telefony.

- Susan, wiem, że jesteś dorosła, ale jestem twoim ojcem i niepokoję się, kiedy nie odbierasz telefonu.

- Okej, ale nie dzwoń dziesięć razy dziennie.

- Dlaczego mam wrażenie, że jest jeszcze coś... Jakiś mężczyzna?



- Nie.

Przez okno właśnie zobaczyła Granta. Szedł do swojego domku i nawet z daleka wyglądał rewelacyjnie. Nagle zapragnęła pobiec za nim i go wesprzeć. Musi mu być ciężko. Stracił wszystko, czego pragnął. Nie była w stanie tego naprawić, ale chciała, by wiedział, że będzie przy nim, jeżeli znajdzie taka potrzeba.

- Zastanawiam się, czy gdybyśmy przejmowali klinikę, która nie pasuje do naszego sposobu prowadzenia interesów, to czy moglibyśmy zrobić wyjątek i pozwolić jej funkcjonować tak jak dawniej?

- To zbyt skomplikowane. Mamy już prawie setkę placówek i gdyby działały niezależnie, to zarządzanie stałoby się koszmarem. A dlaczego pytasz? Nigdy się tym nie interesowałaś. Zawsze koncentrowałaś się na utrzymywaniu standardów opieki.

- Tak sobie, bez powodu. Z ciekawości.

- Chciałabyś mieć większą odpowiedzialność? Wiesz, że możesz się zająć każdym aspektem naszej działalności.

Większą odpowiedzialność? Miała na myśli mniejszą!

- Posłuchaj, idę i może naprawdę zajmę się pewnym mężczyzną, skoro o tym mówisz. Pogadamy jutro.

Zanim zdołał zaprotestować, pożegnała się i zakończyła rozmowę.

Wybiegła i zawołała:

- Grant!

Rzeczywiście nie powiedziała ojcu wszystkiego. Że zakochała się w pewnym mężczyźnie i... w jego stylu życia. Że to jest miłość bez przyszłości. Ale to wcale jej nie przeszkodziło pobiec za Grantem i zaryzykować, że jej złamie serce.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zawiódł wszystkich, którzy na niego liczyli - ludzi, którzy wierzyli, że kiedy będą potrzebowali pomocy medycznej, zapewni im taką, jakiej się spodziewali. Po przejęciu kliniki w dalszym ciągu będzie mógł praktykować, ale nie tak, jak by chciał.

Zostać czy odejść? Jak pracować w nowej strukturze, nie pamiętając, jak było dawniej?

Kochał tu wszystko. Ludzi, okolice, styl życia. Gdzieś, daleko, istniał świat wielkich możliwości w medycynie, ale on zawsze chciał wrócić tutaj. Jego przyjaciele, Caprice Bonaventura i jej mąż, Adrian McCallan, niemal co miesiąc ponawiali zaproszenie, aby dołączył do nich w ich klinice w Miami. Poznali się podczas Akcji Uśmiechnięta Buzia i świetnie im się współpracowało.

Ale czy wytrzymałby w Miami?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie i nie miał ochoty o tym myśleć. Tym bardziej że się zakochał w kobiecie, która go w końcu zniszczy.

- Wyglądasz na zmartwionego - powiedziała Susan, wchodząc na werandę.

Grant stał w drzwiach wiodących do domku.



- Mam do tego prawo, prawda?

- Posłuchaj, mogę tylko powiedzieć, że jest mi przykro.

- Obojgu nam jest przykro.

Z trudem opanował się, by nie wybuchnąć. Pragnął zebrać myśli, zmusić się do odrobiny optymizmu, ale potrafił tylko rozpamiętywać swoje błędy i zrzędzić. Za godzinę miał dyżur i żeby wyrzucić z siebie frustrację, chciał złapać kilka fal i posurfować. Uspokoić się, a dopiero potem podjąć jakieś decyzje.

- Posłuchaj, Susan. Lubię cię, a może nawet więcej, ale musisz zrozumieć, że symbolizujesz konflikt. Wkrótce obrócisz wniwecz wszystko, nad czym pracowałem, i bardzo się staram, żeby nie zrzucać na ciebie za to winy. Usiłuję oddzielać Susan Ridgeway Cantwell od Ridgeway Medical, ale to nie jest łatwe. Ciągłe myślę o tych wszystkich ludziach, którym sprawię zawód.

Do licha, winien jest tym ludziom opiekę, jakiej oczekują, bo pomogli mu skończyć studia. Jego burzliwe młode lata sprawiły, że stracił szansę na stypendium i kiedy matki nie było stać na posłanie go do college'u, mieszkańcy wioski, pracując ciężko, zebrali dla niego pieniądze. Zainwestowali w jego przyszłość. Został lekarzem dzięki ich hojności, a teraz miałby zawieść tych, którym wszystko zawdzięcza?

Można by powiedzieć, że czegoś takiego się w końcu po nim spodziewali... Ale przecież zdołał ich przekonać, że jest inny, bardziej odpowiedzialny. Tymczasem okazuje się, że to nieprawda. I dlatego w jego uczuciach przeważały gorycz i wstyd.

- W takim razie pójdę...

- To niczego nie załatwi. - Susan z oczu to wcale nie Susan z serca. -

Spotkamy się za godzinę w klinice, dobrze? Może po pracy...



Musi iść na plażę, i to natychmiast. Dobrze się zastanowić, co jej powie.

Susan skinęła głową.

Grant patrzył, jak odchodziła, podziwiając jej sylwetkę.

- Cholera! - mruknął pod nosem, wchodząc do domku po deskę. - Życie mi się wali, a ja myślę o kobiecie, która się do tego przyczyniła.

Od śmierci Ryana Harrisa nie przychodziła na tę część plaży, ale teraz musiała poważnie pomyśleć. Czas stawić czoła rzeczywistości, tym razem jednak musi wszystko gruntownie rozważyć.

Rozmowa z ojcem przypomniła jej o zobowiązaniach wobec Ridgeway Medical, czyli coś, o czym próbowała zapomnieć od czasu przylotu na Hawaje. Nie było to łatwe z powodu mężczyzny, w którym się zakochała. Ale nawet bez tej nieoczekiwanej przeszkody trudno by jej było powrócić do dawnego życia. Tutaj, na Hawajach, odnalazła to, co naprawdę chciałaby robić, i dlatego musi się dobrze zastanowić. Kogo uszczęśliwić, komu sprawić zawód, a kogo rozczarować.

Rozłożyła ręcznik na piasku i wzrokiem poszukała muszelek, ale ich nie znalazła. Szkoda. Tyle się zmieniło, tyle wydarzyło w ciągu kilku ostatnich dni. A jej pragnienia także się zmieniły...

Pragnęła na przykład uczucia satysfakcji, której nie dawała praca w korporacji, a które przeżyła, gdy synek Kuli przyszedł na świat. Nigdy nie zapomni tej zdumiewającej chwili... Gorąco pragnęłaby ją powtórzyć.

Może to egoizm z jej strony. W końcu w szpitalach i klinikach Ridgeway Medical codziennie pomaga setkom małych chłopców i dziewczynek przyjść na świat. Pilnuje przestrzegania wysokich standardów medycznych i ocala w ten sposób niejedno życie. Choć dla niej, osoby strzegącej wykonywania procedur medycznych, sprowadza się to do



rozmów telefonicznych i podpisów. Ale kiedy wzięła w ramiona nowo narodzonego Ali'ikai, zawładnęła nią tęsknota.

Cóż za kłopotliwa, cudowna zmiana w jej życiu.

Zrzuciła sandały i poczuła żal, że nie wrócą już chwile, gdy mogła czytać romans i czekać na surfującego adonisa. Usadowiła się wygodnie na ręczniku, włożyła kapelusz i zaczęła się przyglądać otoczeniu. Miło było tu wrócić, ale po kilku minutach wzrok jej zabłądził na miejsce, gdzie zmarł Harris.

Nic się nie zmieniło, życie biegnie swoim torem. Trójka dzieci budowała zamek z piasku. Dzieci kopały doły plastikowymi łopatkami i napełniały różowe wiaderka, a potem odwracały je i tworzyły wieże z piasku.

Co za piękny dzień! Cudownie, że tu przyszła, choćby na kilka minut, by rozjaśnić myśli. Byłaby szczęśliwa, prowadząc takie życie. Z Grantem u boku...

A tymczasem jej przeznaczeniem jest siedzenie za biurkiem. Żadnych plaż, fal czy muszelek. Żadnych rodzących się dzieci, i chyba to najbardziej ją rozczarowało.

Wszystko, czego pragnęła - wygodne życie, spokojna praktyka lekarska - stało się niemożliwe. I to przez nią. Może wprawdzie poprosić ojca, by wykluczył Kahawaii z grupy przejmowanych klinik, ale nawet gdyby się na to zgodził, to co by to zmieniło? Ktoś inny wykupiłby klinikę, bo pani Kahawaii musi ją sprzedać. Grant byłby w tej samej sytuacji, a może nawet gorszej, bo nie wiadomo, jaki byłby ten nowy nabywca.

Skupiła wzrok na tym kawałku plaży, gdzie zazwyczaj pojawiał się jej surfer, piękny jak Adonis, chociaż o tej porze nie spodziewała się go zobaczyć. Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca: on tam jest! Stoi na



brzegu i obserwuje fale. Co takiego jest w tym mężczyźnie, że tak gwałtownie na niego reaguje?

Tylko Grant potrafi wzbudzić w niej taką reakcję. A może to hawajskie powietrze? Przejdzie jej, kiedy wróci do Teksasu. Zapomni o surferze, zapomni o Grancie i zwali wszystko na swój nastrój.

Chłopak z deską był czystą fantazją, ale Grant uosabiał wszystko, czego pragnęła, i nie miało to nic wspólnego z powietrzem czy z wakacjami.

Surfer położył się na desce i wiosłując rękami, ruszył przed siebie.

Zdumiewający widok. Wstała i podeszła do wody. Ten surfer wyglądał jak Grant, tak samo ją podnieca. Wszystko się jej z nim kojarzy!

Obserwowała, jak podniósł się na kolana, wstał, złapał równowagę i dał się unieść fali z taką gracją, jak zrobiłby to Grant. Żle z nią. Zakochała się po uszy. Nie ma co udawać, że to tylko zauroczenie.

Fala wyniosła surfera na brzeg i teraz Susan dostrzegła coś więcej niż jego sylwetkę. Poczowała, jak przebiega przez nią dreszcz. Zrozumiała, że zakochała się w Grancie już owego pierwszego dnia na plaży. Z daleka, i od pierwszego wejrzenia.

- Grant! - Omiotła wzrokiem jego twarz, a potem całą sylwetkę. - Nie chciałam ci przeszkadzać. Gdybym wiedziała, że tu jesteś, nie...

- Cieszę się, że mnie obserwowałaś, *kekoa* - powiedział głosem tak schrypniętym, że znów poczuła drzenie. - Te poranki przed wypadkiem, kiedy to zbierałaś muszelki...

- Zostawiłeś je dla mnie, prawda?

- Skąd wiesz?

- Wyrzuca je fala, a ja siedziałam daleko od wody. - Roześmiała się. - I znalazłam metkę z napisem *Made in China*.

- Przyłapałaś mnie. To dlaczego potem ich znowu szukałaś?



- Ktoś musiał je podrzucić. Miałam nadzieję, że specjalnie dla mnie, i wyobraziłam sobie, że to ten chłopak na desce. Dlaczego to zrobiłeś?

- Podobało mi się, że czerpiesz tyle przyjemności z czegoś tak prostego.

- Wiedziałaś, że ci się przyglądam?

- Mężczyzna czuje, kiedy przypatruje mu się piękna kobieta, nawet jeżeli chowa twarz pod paskudnym kapeluszem. Nie przypuszczałem, że kiedyś przyjdiesz na tę część plaży.

- Ja też nie, ale musiałam... Świetnie surfujesz, podobało mi się.

- *Hee nalu*. To stara hawajska nazwa surfowania. *Ku mai! Ku mai!*

- Co. to znaczy?

- Tak kiedyś zaklinano fale. Powstańcie, wielkie fale.

- Zauważyłam, że zatrzymujesz się i patrzysz na wodę, zanim do niej wejdiesz. Czy wtedy to mówisz?

- To przynosi mi szczęście, czuję się bezpieczny. Miałem cztery lata, kiedy zacząłem surfować. Wykładałem się z domu, przychodziłem tutaj i udawałem, że jestem na desce. Nie wiedziałem, że matka z daleka mnie obserwuje i pilnuje. Miałem pięć lat, kiedy po raz pierwszy wszedłem z deską do wody, ale matka wybiegła zza palm i nakrzyczała na mnie. To było straszne rozczarowanie, ale jednocześnie i ulga, bo pierwszy raz jest przerażający.

- Pozwoliła ci spróbować?

- Poszła do wody ze mną. Nie miałem o niczym pojęcia, więc tylko pływałem, leżąc na desce. Mama była ze mną, wyciągała z wody, kiedy fala mnie zalewała, zachęcała, abym wracał i znowu próbował. Tak się to zaczęło. Wiedziałem, że mama zawsze mi pomoże.



- Mój ojciec nauczył mnie jeździć na rowerze. Po prostu posadził mnie i pozwolił, żebym sama odkryła, jak to się robi. On wierzy w metodę prób i błędów. Patrzył, jak się przewracam, i kazał mi znowu wsiadać.

- Dużo czasu ci to zajęło?

Skrzywiła się, przypomniawszy sobie zdarte kolana i łokcie.

- Po kwadransie byłam zbyt potłuczona i pokrwawioną, żeby móc sobie pozwolić na kolejny upadek. Konieczność bywa dobrym nauczycielem.

- Chcesz się nauczyć? - Kopnął deskę.

- Jeszcze się nie pozbierałam po rowerze, a minęło już trzydzieści lat. - Podniosła łokieć i pokazała mu bliznę. - To nie jest jedyny ślad.

Udał przez chwilę, że ogląda bliznę, a potem dotknął jej lekko palcami. Przypatrywał się tej bliznie, jakby zagrażała jej życiu. Kiedy obejrzał ślad pod każdym kątem, pochylił się i go pocałował. Przez jej ciało przebiegł dreszcz.

- Założę się, że twój tata tego nie robił.

- Założę się, że twoja mama tak robiła. - Zabrakło jej powietrza. Taki delikatny pocałunek, a już ma gęsią skórę. Pewnie się zorientował.

- Bardzo często. Bądźmy przez chwilę dwojgiem normalnych ludzi na plaży, Susan i Grantem, którzy nie stoją w obliczu nieprzyjemnej sytuacji. To jest neutralne miejsce. Zobaczmy, jak sprawy potoczą się między nami, gdyby nie...

- Chyba... myślę, że... nie powinnam...

- Chcesz, żebym cię nauczył pływania na brzuchu? - Spojrzał na jej szczupłą talię. - Ładny brzuch, nadaje się na deskę.



Ktoś ją chyba uwodzi, i to na publicznej plaży. Poczwała, że mięknią jej kolana. Pomyślała, że powinna natychmiast stąd uciekać, bo jeszcze jeden pocałunek czy spojrzenie Granta, a odporność ją zawiedzie.

- Dobrze, opowiedz mi o pływaniu na desce na brzuchu.

- Kładziesz się i wiosłujesz rękami. Nie wyływasz jednak daleko i nie łapiesz fali.

- A jeżeli fala mnie złapie?

- To cię uratuję.

- A nie jestem za stara? Nie będę wyglądać śmiesznie?

- W moim świecie nigdy nie jest się za starym, żeby zrobić coś, na co ma się ochotę, a jeżeli chodzi o śmieszność, to się rozejrzyj. Jesteś na Hawajach, tu nie znamy takiego słowa.

Śmieszne by było, gdyby z nim nie popływała. To jedyna szansa w życiu. Tak się tym przejęła, że prędko zrobiło jej się smutno, że taka okazja nigdy się nie powtórzy.

- Susan, wiem, że trudno jest wyjść ze skorupy swoich przyzwyczajień, ale zobaczysz, spodoba ci się - ciągnął. - Musisz tylko pamiętać, że najważniejsze jest balansowanie ciałem na powierzchni wody i jednocześnie wykorzystywanie rozbijających się fal.

Żeby proste wyjaśnienia brzmiały tak uwodzicielsko! Dobrze, że ustalili, że plaża jest neutralna.

- Wejdz do wody po pas - dodał - i połóż się na desce, starając się, by ciężar ciała spoczywał na środku. Naturalna tendencja to opieranie się na rufie, co sprawia, że dziób się podnosi i stwarza opór. Musisz więc utrzymywać klatkę piersiową powyżej środka.

- Klatka piersiowa powyżej środka... nie zsuwać się na rufę.



- Spróbujmy metodą prób i błędów, tak jak uczyłaś się jazdy na rowerze. - Chwycił deskę, która postawiona pionowo była wyższa od niej, i gestem nakazał jej wejść za nim do wody. - Za pierwszym razem pewnie cię trochę będzie rzucać - ostrzegł ją, kiedy oddalali się od brzegu. Do kolan, potem do wysokości ud...

- Mam na nią wejść? - zapytała, kiedy położył deskę na wodzie.

- Tak. Spokojnie. Im mniej ruchu, tym lepiej. Jeżeli złapie cię fala i spadniesz, natychmiast osłoń tył głowy, przyciskając nadgarstki do uszu i zbliżając łokcie do siebie. - Pokazał jej ten manewr, a potem pocałował ją w usta. Tym razem nie był to delikatny czy żartobliwy pocałunek.

Zanim Susan zdążyła zdjąć ręce z uszu i zarzucić mu je na szyję, pocałunek stał się gorący. Czegoś takiego jeszcze dotąd nie zaznała.

- Teraz bardzo tego chcę - rzekł ochrypłym głosem, przekrzykując ryk fal. - A ty?

- Chcę - szepnęła.

Dreszcz pożądania rozlał się po całym jej ciele. Wiedziała, że tak musiało się stać. Poczula na sobie silne dłonie Granta. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że dzielił ich tylko cienki materiał jej kostiumu. To było jak wir czystych uczuć, który wciągnął ją bez reszty. Dotyk warg Granta rozpalał pod jej skórą żywy ogień. Czula, że Grant nie pozostał obojętny na gwałtowną reakcję jej ciała.

- Do licha, nie powinniśmy... - westchnął i otarł krople potu z czoła.

Susan odsunęła się, poczuwszy ukłucie w głębi serca, i od razu zatęskniła za męskim zapachem Granta zmieszany z ostrym słonym powietrzem. Pragnęła wszystkiego i gotowa była dać wszystko, powodowana niezaspokojonym pożądaniem i tęsknotą, jakich nigdy w życiu jeszcze nie zaznała.



- Wróćmy do tej deski - zaproponowała drżącym głosem.
- Cholera, zapomniałem, o czym mówiłem. Susan roześmiała się.
- Coś o wodzie do pasa i że im mniej ruchu, tym lepiej.
- Tak, ale nie myślę teraz o wodzie. - Przytrzymał jej deskę. - Kładź

się. Deska jest stabilna i nie zatonie.

Okazało się to łatwe. Susan nie chciała zrobić z siebie idiotki w jego obecności. Zależało jej na dobrym wrażeniu.

- Co teraz?

- Usiądź trochę poniżej środka deski i obejmij ją kolanami. Będziesz mogła kontrolować dziób i skręcać, kiedy zechcesz zmienić kierunek.

Ostrożnie ustawiła się w tej pozycji. Chociaż byli blisko brzegu, poczuła się częścią wielkiej siły natury, czegoś, co dla Granta było pasją.

- Dobrze? - zapytała.

Zdołał tylko mruknąć coś w odpowiedzi. Było jasne, że myśłami jest gdzie indziej.

- I co teraz? - spytała, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Wybierz fale, która się jeszcze nie przełamała, i na całej długości jest równa. Tutaj, blisko brzegu, nie będzie silna. Kiedy podejdziesz do ciebie, ale jeszcze cię nie ogarnie, kolanami skieruj dziób w stronę plaży, połóż się, i kiedy fala cię dosięgnie, zacznij wiosłować rękami. Raz jedną, raz drugą.

- To wszystko?

- Tak. Staraj się pozostać na desce. Jeżeli spadniesz, rób to, co ci przedtem pokazałem. Jeżeli pójdziesz pod wodę, nie wynurzaj się od razu, żeby nie zderzyć się z deską. Idzie dobra fala!

Susan wpadła w panikę, próbując przypomnieć sobie to, co jeszcze przed chwilą wydawało jej się proste.

- Odwróć ją! Kolanami, w stronę brzegu. Kładź się!



Rzuciła się na brzuch i więcej Granta nie słyszała, bo poniosła ją fala i zaczęła wiosłować jak szalona. To było bardzo ekscytujące, ślizgać się po powierzchni wody i odczuwać jej pierwotną siłę.

Jazda była porywająca i zapierała dech w piersiach, ale skończyła się niezwykle szybko, bo fala zamarła, zanim dotknęła brzegu, a deska po prostu zatrzymała się i zrzuciła Susan do wody.

Zupełnie zapomniała, co Grant jej mówił o ochronie głowy. Nie było głęboko, ale kiedy wyczołgała się na brzeg, wykończona opadła na mokry piasek.

- Jedną z pierwszych zasad surfingu jest odnalezienie deski. Wolno pływające mogą być niebezpieczne.

Podniosła głowę i zobaczyła jego stopy. Głowa opadła jej na piasek i wymamrotała słabo:

- Następnym razem. - A potem zamknęła oczy, próbując zebrać siły, żeby wstać.

Okazało się to niepotrzebne, bo Grant podciągnął ją na nogi i porwał w ramiona.

- Ma być jeszcze raz? - zapytał rozbawiony.

I chociaż cała była w piasku i wyglądała jak jakieś nieszczęsne morskie stworzenie, które wypłynęło na brzeg, by tam umrzeć, zapragnęła pozostać w nich na zawsze.

- Może później. Chyba nie mam siły...

Słyszając jej protest, Grant ruszył, ale nie w stronę miejsca, gdzie zostawiła ręcznik, ani ścieżki wiodącej do kliniki. Wszedł do wody i kiedy znalazł się w niej po pas, zanurzył Susan.

- Cała jesteś w piasku - powiedział, kiedy próbując złapać równowagę, go objęła. - Musimy go spłukać, zanim wrócimy do pracy.



Do pracy. I do trudnej rzeczywistości. Co za paskudne zakończenie cudownych chwil na plaży. I pomyśleć, że spodziewała się czegoś zupełnie innego. Wrócą do domku, jego albo jej, zdejmą kostiumy, po czym przejdą do tego, co przerwali...

Może i lepiej, że ta chwila minęła. Zakochała się w Grancie i każda sekunda z nim spędzona utrudnia jej zadanie. Musi wyjechać. Nie ma wyboru. Powróci do swojego życia, bo to, co dzieje się tutaj, to tylko wakacje. Marzenia. Przygoda, którą będzie pamiętać przez całe życie.

- Pocałuj mnie - poprosiła, wtulając się w niego tak mocno, że poczuła mocne bicie serca.

Może to nie jest najmądrzejsze, ale wakacje się jeszcze nie skończyły. Ani jej marzenia nie umarły.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Dzisiaj jest w złym humorze. Tęskni za dziadkiem. Chciałaby do niego pojechać - wyjaśniła Laka, kiedy Susan przystępowała do badania 'Eleu. - I nie ma apetytu.

Dziewczynka rzeczywiście była uparta, bo patrzyła teraz w przestrzeń, udając, że ich nie widzi. Ale na jej twarzyczce widniał strach. Jej świat się zmienił, i chociaż była jeszcze mała, wiedziała o tym. Nic już nie będzie dla niej takie, jakie było dotąd.

- Pójdziemy na spacer? - zapytała Susan. 'Eleu nawet nie drgnęła.

- A na lody?

Żadnej reakcji. Susan popatrzyła na Lakę i skinęła głową w stronę drzwi, dając jej do zrozumienia, że chciałaby zostać z 'Eleu sama.

Przysunęła krzesło do łóżka i usiadła.

- Chciałabym ci opowiedzieć o czymś strasznym - zaczęła. Czy można o tym rozmawiać z dzieckiem? Miała przeczucie, że powinna to zrobić. - To się stało na plaży. Jestem teraz na wakacjach i siedziałam sama, czytając książkę. Lubię chodzić rano nad morze i zbierać muszelki, bo tam, gdzie mieszkam, nie ma plaży. Któregoś dnia zobaczyłam, że nad wodą zebrał się tłum ludzi, więc też tam pobiegłam. Młody chłopak, *haole*... - specjalnie źle wymówiła to słowo, żeby w ten sposób przyciągnąć uwagę dziewczynki. Podziałało. Na moment mała przeniosła wzrok na Susan. - No więc ten chłopak płynął na desce, ale nie był w tym dobry. Miał wypadek i się poważnie zranił. Kiedy tam dobiegłam, wyniesiono go już na brzeg i ktoś udzielał mu pomocy. - Susan poczuła, że drżą jej ręce. - Ja też próbowałam mu pomóc, ale nie mogłam nic zrobić... - Jej głos załamał się i zamilkła.



'Eleu popatrzyła na Susan, ich oczy się spotkały. Zrozumiała więcej, niż powinna, będąc tylko siedmioletnim dzieckiem.

Wyciągnęła rękę do Susan.

- Nie mogłam pomóc dziadkowi - wyszeptała.

- To nie twoja wina, 'Eleu.

- Nie umiem dobrze pływać. Gdybym sama dała sobie radę, *kupuna kane* zdążyłby przed rekinem...

- Nie możemy obwiniać siebie o wypadki. Twój dziadek też by tego nie chciał.

'Eleu pomyślała przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami.

- Ale ty też czujesz się winna za wypadek tego *haole* - powiedziała wyraźnie, żeby dać Susan do zrozumienia, jak prawidłowo wymawia się to słowo.

- Nie. Jest mi smutno, że tak się stało, a to coś innego. Masz prawo bać się, bo wszystko się w twoim życiu poplątało. Ale to nie wina ani twoja, ani twojego dziadka.

- A twój *haole*. Przeżył czy umarł?

- Umarł - odparła Susan głosem trochę tylko mocniejszym od szeptu.

- To smutne.

- Wiem. I smutno mi z powodu twojego wypadku, 'Eleu. I twojego dziadka.

Dziewczynka rzuciła się w jej ramiona i rozszlochała. Susan płakała razem z nią.

Grant odwrócił się, bo żal ścisnął go za serce. Susan tak dobrze daje sobie radę z 'Eleu! Dziwił się, dlaczego nie specjalizowała się w pediatrii. Może wtedy pozostałaby lekarzem? Niewielu ludzi ma taki naturalny talent jak ona. I żeby tak go zmarnować! Omal nie walnął pięścią w ścianę ze



złości na Ridge-way Medical, bo to też była wina korporacji. Marnują jej talent, a poza tym przyczynili się do jego beznadziejnej walki o przetrwanie. Tyle się w nim gniewu nzbierało!

Kiedy Susan wstała, obiecując 'Eleu, że zaraz wróci, by ją zabrać na spacer, Grant pospieszył do swoich spraw. Nie był w nastroju do niczego po tym, co mogło wydarzyć się na plaży, po tym, jak usłyszał rozmowę Susan z 'Eleu, po telefonie ze szpitala Bayside...

- Cholera jasna! - zaklął i zacisnął pięści.

- Grant?

Udał, że jej nie słyszy, i przyspieszył kroku.

- Grant? - zawołała raz jeszcze. - Musimy porozmawiać.

Na co się zdadzą rozmowy, jeżeli wszystko wokół się wali? Westchnął i zatrzymał się.

- Myślałam, że porozmawiamy zaraz po powrocie z plaży.

- Byłem zajęty.

- Chcę cię zapytać, czy można zawieźć 'Eleu do dziadka. Tęskni za nim i dobrze by jej zrobiło, gdyby spędziła z nim trochę czasu. - Zatrzymała się i chwyciła go za ramię. - Co się stało?

- Chodź do mojego pokoju - powiedział. Kolejne złe wieści. Okropny dzień, jeżeli nie liczyć kilku miłych chwil na plaży z Susan.

- Chodzi o 'Eleu? Jej dziadka? Chyba nie...

- Nie, nie umarł. Ale miał kolejny wylew. No i ta amputacja nogi... Nie wróci do domu, żeby wychowywać 'Eleu. Będzie musiał iść do domu opieki.

- Czyli że 'Eleu jest sierotą?

- Tak, została sierotą po raz drugi w życiu, chyba że znajdziemy kogoś z rodziny, kto się nią zaopiekuje.

- A do tego momentu?



- Zgodziłem się zatrzymać ją w klinice. To lepsze niż rodzina zastępcza albo dom dziecka. Zresztą rodzin jest za mało, więc idą tam tylko najmłodsze dzieci, a starsze trafiają do sierocińców.

- Nie! - krzyknęła Susan. - Nie możemy na to pozwolić.

- Ja nie mogę się nią zająć. Chyba zauważyłaś, że nie prowadzę ustabilizowanego życia. Nikt mi nie przyzna prawa do opieki nad małą dziewczynką.

Nie to, że nie chciał się nią zająć, ale jego życie zmieniało się z dnia na dzień na gorsze. Nikt by nie zaakceptował jego stylu życia.

- Porozmawiam z dziadkiem. Zabiorę ją do niego i może on znajdzie kogoś, kto ją weźmie.

- Też o tym myślałem, ale nie wiem, czy jest gotowa go zobaczyć. Ocenimy to razem, kiedy tam pojedziemy.

- My?

- Tak. Teraz ja się nią opiekuję, a on mi ufa. Wszyscy mu ufają. Może powinien pracować dla

korporacji i zajmować się ludźmi, którzy na nim polegają. Tak jak dziadek 'Eleu.

- To dla ciebie wszystko, prawda? Klinika, sposób, w jaki uprawiasz medycynę, ludzie - powiedziała Susan jakiś czas później, kiedy już jechali drogą wzdłuż wybrzeża, aby zobaczyć się z Ka Nui.

- Nie poszedłem na medycynę z wielkimi ambicjami. Chciałem tu wrócić i leczyć ludzi tak, jak uważam za właściwe. To oni wysłali mnie na studia. Każdy z nich coś poświęcił, żebym stał się tym, kim teraz jestem. A więc tak, to jest dla mnie wszystko.

Potrząsnął głową i milczał, dopóki nie dotarli do szpitala.



- Posłuchaj, zanim wejdziemy, chcę cię przeprosić za moje zachowanie. Mam kłopoty i wiem, że trudno ze mną wytrzymać. A to, co się zdarzyło między nami rano, nie powinno się stać. Z tego biorą się same komplikacje.

- Uwodzisz mnie, a potem mówisz o komplikacjach. Przepraszasz mnie i myślisz, że wszystko załatwione. Tym dla ciebie jestem? Zabawką na kilka minut?

- Masz rację. Jesteś zabawką, ale nie w taki sposób, jak myślisz. Nie wykorzystywałem cię, aby odwrócić swoją uwagę od problemów. - Wyciągnął dłoń i odgarnął z jej twarzy luźne pasmo włosów. - Jesteś bardzo pociągającą kobietą i urodzonym lekarzem. Gdyby sytuacja była inna, zrobiłbym wszystko, żebyś pozostała moją zabawką, bo się w tobie zakochałem.

- Pochylił się w jej stronę, odpiął jej pas i delikatnie pocałował w usta. - Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. Nie wiesz, jak bardzo tego żałuję. - Wskoczył z jeepa i okrążył go, by otworzyć jej drzwi. Nie wysiadła od razu.

- A gdyby okoliczności się zmieniły? Gdybym to ja sama kupiła klinikę? Nie jako Ridgeway Medical?

- Susan, nie możesz tego zrobić. Co mógłbym ci ofiarować? Żadnej stabilizacji. Żadnej przyszłości. - Wyciągnął rękę, by jej pomóc wysiąść, ale odmówiła.

- Oboje wiemy, że jest kilka możliwości. Mógłbym zrezygnować i pojechać z tobą do Teksasu. Lub mogłabyś wykupić klinikę, tak jak proponujesz, ale to nie jest wyjście dla nas. Żadne z nas nie byłoby szczęśliwe z powodu tego kompromisu. Z czasem podziałyłoby to na naszą niekorzyść.



- Co to znaczy?

- To znaczy, że każde z nas ma odrębne życie. Nie podoba mi się to, co Ridgeway Medical ma zamiar zrobić z Kahawaii i chociaż to nie twoja wina, z czasem może zacząłbym cię za to obciążać. Nie masz na to wpływu.

Serce mu się krajało, ale musiał postawić sprawę uczciwie. Głupotą byłoby wierzyć, że jest dla nich jakaś przyszłość, skoro on tak bardzo nie lubi ważnej części jej życia. Jeszcze bardziej ją kochał za propozycję wykupienia kliniki, ale na to nie zasłużył. To on sam doprowadził do tego bałaganu.

- Przecież to nie twoja wina, że nie zarobiłeś dość pieniędzy. Robisz tutaj wspaniałe rzeczy i jeszcze zostajesz za to ukarany.

Nadeszła chwila gorzkiej prawdy. Wolałby jej nie mówić, w jaki sposób stracił klinikę. Ona jest kobietą sukcesu, a jego życie legło w gruzach.

- Zarobiłem dość pieniędzy na pierwszą wpłatę. Oszczędzałem każdego centa, zostało mi trochę pieniędzy po matce. Wszystko było ustalone. To, co teraz widzisz, to tylko rezultat mojej własnej głupoty.

- Nie rozumiem.

- Straciłem wszystko z powodu kobiety. Miała na imię Alana, ale jej nie kochałem. Nawet dobrze jej nie znałem, ale z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu się z nią związałem. Nie rozumiem, jak to się stało, ale zamieszkaliśmy razem i nie zauważyłem, kiedy zostawiła mnie bez grosza. Nie było tego wiele, ale moje marzenia legły w gruzach. Na koniec powiedziała mi, że zawsze byłem zajęty i poświęcałem jej za mało czasu. Upierała się, że zasłużyła na te pieniądze, ofiarowując mi jeden parszywy rok swojego życia. To moja wina, że straciłem szansę. Gdybym nie był



takim idiotą, moglibyśmy się poznać na plaży w zupełnie innych okolicznościach...

- Teraz Alanę widzisz we mnie. Jestem dla ciebie kolejną kobietą, która chce ci odebrać marzenie.

Jego marzenie się zmieniło. Teraz Susan stała się jego częścią. Częścią, której pragnął jeszcze bardziej niż kliniki.

- To nie tak. Ale jak bym mógł się zgodzić na twoje poświęcenie po tym, co zrobiłem? Nie zasługuję na ciebie.

- Ale zacząłeś mnie całować.

- Ja zawsze podejmuję błędne decyzje.

- To dla ciebie jestem błędną decyzją?

- Ty jesteś jedyną dobrą decyzją, Susan. - Chciał ją pogłaskać po policzku, ale odsunęła się gwałtownie. - Złą decyzją było wszystko inne, co zrobiłem. Kosztowało mnie to utratę moich pragnień...

- Zrozumiałam. Masz rację, nie możemy tego zmienić.

W damskiej toalecie Susan przytrzymała się krawędzi umywalki i zwilżyła twarz zimną wodą. Jak mogła się tak przed nim otworzyć i mieć nadzieję? Każdy popełnia błędy... w jej przypadku był to Ronald Cantwell. Grant miał Alanę i trudno było mieć mu to za złe. Jedna kobieta odebrała mu środki do spełnienia marzeń, a druga odebrała mu te marzenia.

Z tej sytuacji nie ma wyjścia. Ojciec miał rację, nie zgadzając się na jej wakacje. Gdyby tylko wiedział, do czego ją doprowadziły!

Chciało się jej płakać, krzyczeć, kopać. Ale co by jej to dało? Kiedy Walter przystępował do jakiegoś interesu, nie było odwrotu. Nikt i nic nie mogło go powstrzymać. Ona też nie. A interes, jaki Walter teraz robi, oznacza koniec jej marzeń.

I Grant, i ona, przegrali swój piękny sen.



- Niech to szlag! - zaklęła.

Dwie pielęgniarki, które właśnie weszły do łazienki, rzuciły jej nieufne spojrzenia i obeszyły ją z daleka. Wkrótce staną się jej podwładnymi, tak jak Grant. Będzie dla niej pracował! Nie wytrzyma ich surowego reżimu. To nie w jego stylu. A ludzie, którzy go będą potrzebować...

Nic nie mogła na to poradzić. Wychodząc, kopnęła kosz na śmieci i pokuśtykała do holu, gdzie Grant na nią czekał. Chciał coś powiedzieć, lecz go powstrzymała.

- Nie ma o czym mówić. Jest, jak jest. Pogodziłam się z tym.

- Wiem, że to nie twoja wina.

- Cieszę się - odparła ze złością, która przerodziła się w smutek. - Ze wszystkich mężczyzn na świecie, w których mogłam się zakochać, wybrałam ciebie. Faceta z zasadami. Może to właśnie najbardziej w tobie kocham, te twoje ideały. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Posłuchaj, będzie lepiej dla nas obojga, jeżeli nie wrócę z tobą do Kahawaii. Będzie nam się łatwiej rozstać. Przykro mi. - Odwróciła się, ale złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Mnie też przykro - wyszeptał i mocno ją przytulił. - Od tej chwili mam się zwracać do ciebie per „pani dyrektor”? - Starał się, aby to zabrzmiało żartobliwie, ale w jego głosie słychać było rozpacz.

- To nie jest śmieszne - odparła, przełykając łzy. Rzuciła mu ostatnie spojrzenie, wyrwała się z jego objęć i ruszyła biegiem przed siebie. Nie dotarła daleko, kiedy stanęła jak wryta na widok grupy mężczyzn, która wyłoniła się z jednej z sal. Na ich czele szedł jej ojciec.

Susan odwróciła się, by spojrzeć na Granta, ale ten już zniknął. Dzięki Bogu za małe cuda.

- Tato? - powiedziała chłodno.



Walter Ridgeway zauważył jej szorty, kwiecistą hawajską koszulę i sandały.

- Susan - odparł równie powściągliwie - nie spodziewałem się zastać cię tu dzisiaj, szczególnie... - Urwał, ale ruchem dłoni wskazał na jej strój, i to wystarczyło.

- Nie jestem tutaj w interesach...

- A w jakim celu? - spytał sztywno i pochylając się nad nią, dodał szeptem: - I do tego w tym stroju?

- Możemy gdzieś porozmawiać na osobności?

- Właśnie idziemy obejrzeć klinikę.

- Pięć minut.

Zastanowił się, a potem potrząsnął głową.

- Wieczorem pójdziemy na kolację. - Odwrócił się, by odejść, ale Susan złapała go za ramię.

- Powiedz mi, czy aby zapewnić jak najlepsze leczenie jak największej ilości ludzi, musi istnieć korporacja, a nie wystarczy sama medycyna? Chcę to usłyszeć, żeby wiedzieć, że nasza działalność ma sens.

- Susan! - powiedział szeptem, kątem oka zerkając na kolegów, by zobaczyć, ile widzą z tego przedstawienia. - Później, proszę.

- Chcę porozmawiać z tobą teraz - oświadczyła kategorycznym tonem.

Pierwszy raz sprzeciwiła się ojcu, i dobrze jej to zrobiło. Ten ostry ton poskutkował, bo ojciec wybąkał kilka słów przeprosin w stronę grupy mężczyzn, a potem wziął ją za ramię, wciągnął do sali, z której wcześniej wyszedł, i zatrzasnął drzwi.

- Co tak cholernie ważnego się wydarzyło, że robisz mi wstyd przed moimi pracownikami?



- Twoimi pracownikami? Miałeś na myśli naszych pracowników? Ja też mam w tej firmie udział.

- Prawda - przyznał. Stał sztywno przy drzwiach, a na jego twarzy malował się gniew. - Od jakiegoś czasu zadaję sobie pytanie, jakie są twoje plany co do Ridgeway Medical.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że moje niezadowolenie jest aż tak widoczne.

- Znam twoje nastroje. - Odstąpił od drzwi i podszedł do okna. - O co chodzi?

- Nigdy nie chciałam zajmować się czysto biznesową stroną naszych transakcji. Było mi łatwiej uważać się za lekarza, kiedy doglądałam standardów opieki medycznej w szpitalach. Bo tego właśnie chcę: być prawdziwym lekarzem. Zawsze tego pragnęłam. Dlatego właśnie odciąłam się od wielu spraw.

- Na Boga, Susan! Kiedy skończyłaś medycynę, przepisałem na ciebie część firmy.

- Chciałeś mnie przekupić, bo wiedziałeś, że moim powołaniem jest leczenie chorych. Byłabym lepszym lekarzem w jednej z naszych klinik niż dyrektorem do spraw medycznych we wszystkich. Dlatego dałeś mi piętnaście procent akcji, wysokie stanowisko i oznajmiłeś, że mam dbać o wszystko, bo chciałeś mnie zatrzymać w rodzinnym interesie. Zgodziłam się, bo nie ma innego Ridgewaya, który mógłby go przejąć. I odwdzięczyłam ci się, bo jestem dobra w tym, co robię.

- No to o co masz pretensje?

- Nie mam pretensji, tylko prośbę. Nie jako córka, ale jako wspólnik, którego szanujesz.

- Słucham cię.



- Chcę, żebyś zostawił klinikę Kahawaii w niezmienionej formie.

- Jest nienowoczesna, ma za mało personelu. Lokalizacja znakomita, jedyne centrum medyczne w całej okolicy o znacznie większym potencjale ekonomicznym niż ten, który teraz realizuje. Jeżeli nawet nie w ilości możliwych do wykonania usług medycznych, to w wartości terenu. Mam zamiar dokupić sąsiednią działkę, sprzedać klinikę deweloperowi, z zysku dobudować nowy kompleks, i jeszcze powinna pozostać spora suma na fundusz operacyjny. Zapowiada się niezły interes. Zapewnimy tym ludziom o wiele lepszy dostęp do leczenia, niż mieli kiedykolwiek.

- To niemożliwe. Mają medycynę z najlepszym podejściem do człowieka. Tego tylko potrzebują.

- I nie muszą płacić, jeśli ich na to nie stać, a to najgorszy sposób prowadzenia interesów.

- Ale oczywiście to zmienimy, prawda?

- Nie możemy być bez serca i jak zwykle zrobimy wszystko, aby uszanować ich potrzeby, ale klinika musi mieć solidną strukturę finansową, jeżeli ma się rozwinąć. Oczywiście, będą zmiany. Wiem, że pani Kahawaii zatrudnia miejscowego lekarza, ale zyski tej kliniki są godne pożałowania. Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- A personel?

- Ma zagwarantowane zatrudnienie przez rok, jeżeli zastosuje się do wymagań.

- A jeżeli nie?

- To ich wyrzucę. Dopilnujesz właściwej obsady stanowisk i efektywnego funkcjonowania kliniki. Sama powiedziałaś, że jesteś w tym dobra.



- I będą musieli zmienić buty - dodała, myśląc głośno. - Zostaw tę klinikę w spokoju. Żadnej rozbudowy, żadnych zmian. Możesz ją wykupić, poprowadzę ją tak jak inne, ale nie zmienię zasad jej funkcjonowania. Tutejsi ludzie potrzebują takiego rodzaju medycyny, jaka jest praktykowana w Kahawaii, i nie można im tego odbierać...

- Jeżeli ty nie zmienisz sposobu jej funkcjonowania, zatrudnię kogoś, kto to zrobi.

- Wtedy złożę rezygnację - powiedziała szeptem.

- Nie wierzę ci - uciął. - Poświęciłaś zbyt wiele czasu i energii, żeby tak po prostu odejść. - Wcale tego nie chciał, bo sam zainwestował w córkę wiele czasu i energii. - Susan, nie możesz odejść. Nie zawsze się zgadzamy, ale cieszę się, że pracujesz ze mną. Wiem, że zawsze kierujesz się dobrem korporacji i ufam ci bardziej, niż myślisz. Może cię przekonam, abyś została, jeżeli zwiększę twoje udziały?

Nie musiałby wdrażać kogoś nowego do wykonywania jej pracy. Potrzebowałby na to roku, a czas to pieniądz. Susan jest dla niego cenna, nie jako córka, ale ktoś, kto pomaga zarządzać firmą.

Westchnęła ze znużeniem. Przecież jest sposób na to, aby wszyscy byli zadowoleni. Nie chciała podjąć tej decyzji, ale innego wyjścia nie widziała.

- Chcę, żebyś zostawił Kahawaii w spokoju. Bez dyskusji, bez przekonywania mnie, jaki to marny interes. Zgoda? - zapytała, wiedząc, że cena będzie wysoka.

- Jeśli zostaniesz w Ridgeway Medical, pozostawię Kahawaii w jej obecnym stanie. Lokalizacja, personel, i tak dalej. Możesz z nią zrobić, co ci się żywnie podoba, pod warunkiem, że nie odejdiesz z korporacji.

Tego się spodziewała. Wygrali wszyscy poza nią. Wprawdzie nie sprzedała duszy diabłu, ale nie kończy się to tak, jak pragnęła. Przecież nie



jest idiotką, nie wszyscy mogą dostać to, czego chcą. Ale przynajmniej Grantowi się udało, a to jest najważniejsze.

- Dobrze, umowa stoi. Zostanę w Ridgeway. Pewnie zechcesz podpisać oficjalny kontrakt. - Obróciła się na pięcie, otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z Grantem.

- Susan! - zawołał Walter, wychodząc za nią do holu-jestem twoim ojcem. Nie chciałbym, żebyśmy... - Zatrzymał się na widok córki w ramionach jakiegoś mężczyzny.

- Tato - powiedziała, uwalniając się z objęć Gran-ta - to doktor Etana Makela, naczelny lekarz w Kahawaii. Mój ojciec, Walter Ridgeway, właściciel Ridgeway Medical. Panie doktorze, gratuluję. Właśnie ustaliliśmy, że po przejęciu kontroli nad kliniką pozostawimy ją w obecnym kształcie. Nie będzie żadnych zmian.

Nie zaszły też żadne zmiany w jej uczuciach. Kochała Granta całym sercem, a jej serce pękło.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



- Susan, to już miesiąc - powiedział Walter, stając w drzwiach - jak ze mną nie rozmawiasz, jeżeli nie liczyć spraw służbowych. Czy nie uważasz, że jesteś mi winna jakieś wyjaśnienie? Co ja takiego zrobiłem?

Podniosła głowę znad zamówień, nad którymi biedziła się już od godziny.

- Jestem zajęta.

- Jesteś zajęta od powrotu z Hawajów i normalnie powiedziałbym, że taka pracowitość jest chwalebna. Ale za dobrze cię znam, żeby nie wiedzieć, że coś jest na rzeczy. Myślałem, że w końcu mi powiesz, co się wydarzyło podczas wakacji. Zmęczyło mnie już to oczekiwanie.

Zapędził ją w kozi róg i dobrze mu tak. Ma teraz sumienną pracownicę, która wszystko oddała firmie, niczego nie pozostawiając innym, także jemu. Tak jest łatwiej. Nie ma czasu na myślenie.

- Nie wydarzyło się nic, co mogłoby cię zainteresować. Ilekroć mnie o to zapytasz, tak właśnie ci będę odpowiadać. - Nie wyzna przecież ojcu, że zakochała się w kimś, kogo nie może mieć.

Grant dostał swoją klinikę, i to była dla niej jedyna pociecha. Dopilnowała, żeby nic się nie zmieniło, poza lepszym dostępem do leków i urządzeń. Ojciec jej to obiecał, i ufała, że obietnicy dotrzyma, dopóki ona będzie tu pracować. Susan była szczęśliwa ze względu na Granta i ludzi, którzy znajdowali się pod jego opieką.

- Nie dajesz mi szansy, żebym mógł ci wszystko wyjaśnić.

- Zawsze bardziej obchodziły cię interesy niż ja. Prosiłam o jedną rzecz, jedną zwyczajną rzecz, a ty odmówiłeś. A potem obróciłeś moją prośbę w interes!



- Czy ciągle mówimy o tej cholernej Kahawaii? Dałem ci to, czego chciałaś. Zostawiłem ją w spokoju. Pogodziłem się z tym, że wysysa fundusze z firmy i nic nie wnosi do wspólnej kasy.

- Dałeś mi to, czego chciałam, ale postawiłeś warunki. Nie potrafięś tego zrobić tylko dlatego, że cię o to prosiłam.

- W dalszym ciągu nie rozumiem twojego związku z tym miejscem.

- Wiesz co? Za długo już dziś pracuję. - Zauważyła, jak ojciec odsunął mankiet koszuli i zerknął na zegarek. Sądząc po minie, uważał, że dziesięć godzin to za mało. - Chyba pójdę już do domu. Porozmawiamy rano.

Wstając, zauważyła, że stracił pewność siebie. Ten postawny mężczyzna wyglądał tak, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Poczekała chwilę, a potem wyszła do holu. Kiedy nacisnęła przycisk przywołujący windę, ojciec stanął za nią bez słowa. Chwilę potem otworzyły się drzwi windy, więc weszła do środka i zwróciła się twarzą do ojca.

- Powinnaś to zrobić - odezwał się, gdy drzwi windy się zamknęły.

Susan natychmiast nacisnęła przycisk otwierający drzwi.

- Słucham?

- Jeżeli to mężczyzna, którego wybrałaś...

- Jaki mężczyzna?

- Doktor Makela. Czy to nie w nim się zakochałaś? Bo o to chodzi, prawda?

Była zbyt zaskoczona, by ojcu odpowiedzieć. Drzwi windy ruszyły, by się zamknąć, rozległ się ostrzegawczy alarm. Susan znów nacisnęła guzik „Otwórz”.

- Dlaczego myślisz, że się w nim zakochałam?



- Bo poświęciłaś się dla niego. Zrezygnowałaś ze swoich pragnień, żeby on zrealizował swoje.

- Nie pozostawiłaś mi wyboru.

- Chyba nie. Powinienem być uważniej cię słuchać. Być lepszym ojcem. Albo ustąpić ci jako wspólnik.

- Czego powinieneś być uważniej słuchać? Własnego ultimatum? Postąpić tak, jak chciałaś, czy znaleźć kogoś na moje miejsce? Spełnić moje życzenie, ale za cenę, jakiej nie chciałam zapłacić? Jestem tutaj. Wykonuję swoją pracę, tak jak sobie tego życzysz.

Drzwi znowu szarpnęły i znów rozległ się alarm. Susan postanowiła, że tym razem pozwoli im się zamknąć, ale ojciec przytrzymał je ramieniem.

- Nikt nie wygrał, Susan. Ani ty, ani ja, ani ten młody człowiek, który cię kocha. A ja zrozumiałem, że nie jesteś od dłuższego czasu szczęśliwa.

Zdziwiła ją uwaga ojca, ale nie chciała sobie zbyt wiele po tym stwierdzeniu obiecywać.

- Przynajmniej nie tak szczęśliwa, jakbym tego pragnęła.

- A czego pragniesz?

- To, co mnie uszczęśliwi, unieszczęśliwi ciebie. Chciałabym być lekarzem, który ma do czynienia z pacjentami. Spędziłam kilka dni w Kahawaii i to było wspaniałe doświadczenie. Kiedy skończyłam studia, powiedziałam ci, że chciałabym praktykować, ale kazałaś mi dołączyć do korporacji. Wzbudziłaś we mnie poczucie winy z powodu moich zobowiązań w stosunku do firmy. Jestem obowiązkowa, zawsze robiłam to, czego ode mnie oczekiwano, i to było moją słabością i porażką.

- Kilka dni popracowałaś jako lekarz i już wiesz, co chciałabyś robić?



- Tato, przyjechałam poród. Wykonałam samodzielnie cesarskie cięcie i pomogłam przyjść na świat zdrowemu chłopcykowi. Nigdy w życiu nie doświadczyłam takiego uczucia.

- I przez to jedno wydarzenie chcesz zmienić całe swoje życie?

Spodziewała się, że ojciec zareaguje sceptycznie.

- Tak, chcę odmienić swoje życie.

- I doktor Makela nie ma z tym nic wspólnego? On cię kocha. Widać to w jego oczach. I ty go też kochasz, prawda?

Sama myśl o tym, że mogliby mieć przed sobą jakąś przyszłość, była śmieszna.

- On jest niezwykłym człowiekiem. Nauczył mnie wierzyć w siebie, ufać lekarskiemu instynktowi, który posiadam. Przypomni mi, że mam dar opieki nad pacjentami.

Walter milczał, a potem odezwał się głosem pełnym cierpienia, jakiego Susan nigdy u niego nie słyszała.

- Jesteś taka podobna do matki. Miała w sobie takie samo współczucie dla ludzi.

Pierwszy raz powiedział coś o matce. Kiedy była znacznie młodsza i pytała go o mamę, zawsze zmieniał temat. Wkrótce przestała, a nie było nikogo innego, kto mógłby odpowiedzieć na jej pytania. Dziadków, ciotek czy wujków. I tak, w bardzo młodym wieku, utraciła ją ponownie.

- Moja matka?

- To zdumiewająca kobieta. Była pielęgniarką. Nie znałem nikogo, kto miałby takie podejście do pacjentów. Zawsze jej tego zazdrościłem, bo chociaż jestem lekarzem, nie dorastałem jej do pięt, i dlatego zająłem się zarządzaniem. Ślub z nią był najlepszą rzeczą, jaka mi się, w życiu przytrafiła. Do dziś nie wiem, dlaczego zgodziła się za mnie wyjść.



- Nie przypuszczałam...

- Przykro mi, że niewiele na jej temat z tobą rozmawiałem, ale tak było łatwiej... - Głos mu się załamał.

- Nie wiedziałam, że była pielęgniarką - powiedziała Susan i poczuła, że po jej twarzy płyną łzy.

- Była dobrym człowiekiem. Zawsze żartowała, że mnie zmieni. Byłem jej sprawą do załatwienia. A potem umarła...

Przerwał, zamknął oczy i wciągnął w płuca powietrze urywanym, pełnym cierpienia oddechem.

- Starąłem się wychować ciebie na swoje podobieństwo, bo inaczej byłoby to zbyt bolesne. Ale kiedy zobaczyłem cię na Hawajach... To nie ciebie ujrzałem, tylko twoją matkę. Jej pasję życia, dobroć, człowieczeństwo. A to, co zrobiłaś dla tego człowieka, którego pokochałaś... Poświęciłaś się, by dać mu to, czego pragnął. Twoja matka postąpiłaby tak samo mimo moich wszystkich wad, a mam ich wiele. Nie jesteś taka jak ja, ale mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Próbowałem cię nie stracić... nie stracić ostatniej więzi z nią. - Walter wyprostował się, nacisnął guzik zatrzymujący windę i wysiadł. - Powinnaś pójść za głosem serca. Gdziekolwiek cię zaprowadzi. - Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, przytrzymał je na chwilę. - A może doczekam się wnuków?

Tym razem drzwi zamknęły się na dobre. Susan nie mogła powstrzymać gwałtownego płaczu. Nie miała pojęcia, czy z jej oczu płyną łzy bólu czy gniewu. Ale to jest bez znaczenia, bo ojciec powiedział, że powinna iść za głosem serca. A to mogło wywołać tylko łzy szczęścia.

Ale kiedy serce doprowadzi ją do Granta, to jak on się zachowa?



- Przeżyjesz - powiedział Grant, bandażując chłopakowi pięciocentymetrową ranę na lewej brwi. Należało ją zeszyć, ale ze względów kosmetycznych użył kleju tkankowego. - Będziesz miał piękną bliznę na pamiątkę. Następnym razem przyciśnij nadgarstki do uszu i złącz łokcie, aby uchronić się przed takimi urazami - dodał i zademonstrował chłopcu właściwą technikę. Ostatni raz pokazywał ten manewr Susan. - Zostań przez chwilę pod wodą, tak aby deska przepłynęła nad tobą.

Grant nie czuł się najlepiej. Zwykle nie dawał po sobie tego poznać, ale widocznie nadszedł czas na przerwę. Powinien zebrać myśli i się opanować.

- Zawołam pielęgniarkę, która wytłumaczy ci, jak masz opatrywać ranę.

Wybiegł z pokoju zabiegowego na korytarz, a potem na parking. Wskoczył do jeepa i wyjechał z miejsca parkingowego z piskiem opon, ruszył przed siebie.

Ostatni miesiąc to było prawdziwe piekło. Nastąpiły drobne zmiany w procedurach - nowe druki, leki do wypróbowania, nowoczesny sprzęt. Musiał przyznać, że nie było tego wiele, i właściwie powinno im to wyjść na dobre. Powiedziano mu, że na razie w Kahawaii nic się nie zmieni, ale nie mógł w to uwierzyć.

Takich obietnic rzadko dotrzymano, więc spodziewał się, że zmiany będą następowały stopniowo. Na razie wszystko było w porządku. Poza tym, że tęsknił za Susan. Jak wariat. Przez cały miesiąc starał **się ją** znienawidzić za to, że należy do Ridgewayów, za to, że jest jak Alana. Tak było łatwiej. Doskonale jednak wiedział, że Susan jest inna, a na to, że jest spadkobierczynią wielkiej korporacji, nie miała wpływu. Podobnie jak on nie miał wpływu na to, że jego matka była biedną Hawajką. I czy mu się to



podobało, czy nie, pokochał całą Susan, nawet tę jej część, która należała do Ridgewayów.

Od miesiąca nie odbierała jego telefonów. Zostawiał wiadomości i trwał w nadziei, że oddzwoni, ale nie dziwił się, że go ignorowała. Zasłużył na to.

Pędząc w stronę wodospadów 'Aka'Aka, przypomniał sobie, że ostatnim razem był tu z Susan. Niech to szlag. Wszędzie nawiedzają go wspomnienia.

Kiedy dojeżdżała do wodospadu, ogarnął ją niepokój. Z Grantem nie rozmawiała od miesiąca. Nie odpowiadała na jego telefony. Próbowwała ograniczyć ich kontakty do ściśle zawodowych, takich, jakie miałyby z innymi lekarzami pracującymi dla Ridgeway Medical.

Ale nawet zagrzebanie się w stertach dokumentów nie pomogło. Nie odwróciło jej uwagi od tego, co oczywiste. Tęskniła za Grantem. A po tym, co powiedział jej ojciec...

Myślała o matce i o tak wiele rzeczy chciała go zapytać. Omal nie roześmiała się w głos. Ma trzydzieści cztery lata, a w jej życiu jest tyle białych plam! Zaś jej związek z ojcem będzie musiał przybrać nową formę, bo jeżeli jej plan się powiedzie, to nie wróci już do firmy.

Z pewnością tak uczyniłaby matka, co dodawało jej otuchy. Tyle dziś zaryzykowała! Po raz pierwszy Susan zdała sobie sprawę, że małżeństwo jej rodziców trwałoby długo, gdyby miało na to szansę. Chociaż... to małżeństwo w pewien sposób nadal trwało. Ojciec nieustannie wracał do wspomnień o matce. I ona tego zapragnęła. Wrócić, ale do czegoś więcej niż wspomnienia.

Zaparkowała samochód obok jeepa, ale od razu nie wysiadła. Zwlekała. Co będzie, jeżeli Grant ją przyjmie? A jeśli jej nie przyjmie?



Jedno było pewne: jeżeli Grant się zgodzi, to ona, Susan Ridgeway Cantwell, odmieni całkowicie swoje życie.

Najrozsądniej byłoby stąd uciec. Bo jeżeli on jej nie zechce...

Trzeba działać, a nie odwlekać decyzję. Czas uwierzyć, że i ona zasługuje na coś, czego szczerze pragnie.

Rozległ się sygnał komórki. Jeszcze jeden telefon od ojca, który chce wiedzieć, co zamierza zrobić. Dzwonił już chyba z dziesięć razy, odkąd się wczoraj rozstali. Rozumiała, że się niepokoił, ale...

- Posłuchaj, nie musisz ciągle dzwonić. Dam ci znać. Jeszcze nic się nie wydarzyło. Nawet go nie widziałam.

- Kogo?

- Grant? - powiedziała szeptem.

- Nie wyłączaj się!

Nie odzywał się, ale słyszała jego oddech. Nie mogła znaleźć słów, które wypełniłyby pustkę. Serce biło jej tak mocno, że bała się, że zasłabnie.

Minęła cała wieczność, zanim znowu się odezwał:

- Posłuchaj mnie, Susan. To dla mnie trudne. Przez ostatni miesiąc zastanawiałem się, co dalej. Co robi facet, który zakochał się w swojej szefowej i nie ma sposobu, żeby ich światy się spotkały.

- Nie jestem twoją szefową.

- Jesteś właścicielką kliniki, którą prowadzę. Dla mnie tak to wygląda.

W głosie Granta nie było gniewu, ale nie było też właściwej mu swobody.

- Czy zawsze musimy mówić o dwóch odrębnych światach? - zapytała.

- Nie. Ale to ty żyłaś w obydwóch.

Wysiadła i podążyła ścieżką do wodospadu. Chciała go zobaczyć, nawet jeżeli ma to być ostatni raz.



- Wiem, że mi nie uwierzysz, ale nie chciałam, aby ta klinika stała między nami. Chciałam tu popracować, praktykować taką medycynę, jaką ty uprawiasz. Dla mnie to nie był konflikt mojego świata z twoim, lecz coś, czego poszukiwałam. Moja praca w Ridgeway... nie przynosi mi satysfakcji. Już od dawna szukałam swojej drogi, i dlatego znalazłam się na tej plaży. To była ucieczka od mojego świata.

Tym razem nie zatrzymały jej kwiaty i ptaki. Chciała go zobaczyć, ale kiedy znalazła się w miejscu, gdzie wystarczyłoby tylko odsunąć gałęzie, nie mogła tego zrobić.

- Zawsze byłam z tobą uczciwa. Ale ty widziałeś we mnie następną Alanę, kogoś, kto miał ci zabrać to, co kochałeś.

- Może tak było na początku. Ale w głębi serca wiedziałem, że nie chcesz zniszczyć Kahawaii.

Susan w końcu wyjrzała zza zarośli i obrzuciła wzrokiem rozlewisko, nad którym spodziewała się zobaczyć Granta. Nie było go ani tam, ani na urwisku.

- Musisz wziąć pod uwagę realia mojego świata. Jestem współwłaścicielką Ridgeway Medical, i to się nie zmieni, niezależnie od tego, jak się potoczą sprawy między nami. - Pragnęła go. Ból ścisnął jej serce na samą myśl o tym, że może go utracić.

- Chcę, żeby się między nami ułożyło. W głębi duszy zawsze ci ufałem, chociaż nie zawsze potrafiłem cię o tym przekonać. Mówiłem różne rzeczy, bo czułem ból... - Nagle Grant pojawił się tuż za nią i wziął ją w ramiona. - Zakochałem się w tobie, kiedy zobaczyłem, jak walczysz o życie Ryana Harrisa, i od tego momentu moje uczucie tylko się pogłębiało.

- Gdybyś wiedział, że nazywam się Ridgeway, tak by się nie stało.



- Byłbym głupcem. A w moim pełnym błędów życiu ten byłby największy.

Poczuła znajomy dreszcz i odwróciła się, tak by mu spojrzeć w twarz.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- A ty? - uśmiechnął się.

- Nie było cię w klinice ani w twoim domku. Mówiłeś kiedyś, że tu przyjeżdżasz, żeby przemyśleć swoje sprawy... Ale skąd ty wiedziałeś?

- Twój ojciec do mnie zadzwonił.

- Naprawdę?

- Powiedział, że mam być dobry dla jego córki. Kiedy spytałem, o co chodzi, odparł, że wkrótce się dowiem.

- Grant, muszę tyle przemyśleć, tylu sprawom stawić czoło. To wszystko jest takie skomplikowane.

- Myślałem, że po prostu zakochaliśmy się w sobie. Co jest takie trudne? To, że ja cię kocham, czy to, że ty mnie kochasz?

- To nie takie proste. Nie jestem tylko kobietą z plaży w okropnym kapeluszu, a ty facetem z deską surfingową.

- A więc komplikacje wygrają? Tak to ma się zakończyć? - Przytulił ją do siebie mocniej. - To nie jest ta Susan Ridgeway, którą znam. Bo ona potrafi walczyć. - Stłumił śmiech. - Nie kupiłbym biletu na samolot, aby pojechać do kogoś, kto nie umie walczyć.

- Kupiłeś bilet do Dallas?

- Lecę pojutrze. Nie mogłem już tego znieść. Musiałem się z tobą zobaczyć.

- Nie mogłam z tobą rozmawiać. Po tym, jak pokazałeś mi swoją praktykę i pacjentów, stałam się twoją największą orędowniczką, i nie



chciałam tego popsuć. Wycofałam się z zarządzania we wszystkich naszych hawajskich placówkach. Nie chciałam ci przeszkadzać.

Wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni.

- Byłam zdruzgotana, kiedy dowiedziałam się, że Kahawaii jest do przejęcia. Potem zaproponowałeś mi pracę. Postanowiłam uciec od wszystkiego. Od swojego życia, ojca, korporacji. I nie psuć sobie wakacji. Oszukiwałam samą siebie. Wszystko tak się różniło od mojego życia... Nie było chwili, abym nie wierzyła, że wrócę do niego, aż spotkałam ciebie. Zakochałam się. A ty przyznawałeś, że mnie kochasz, a potem dodawałeś, że nie ma dla nas przyszłości. Kiedy postanowiłam zerwać z tym, co komplikuje nasze sprawy, nie zgodziłeś się.

Grant ujął ją za rękę i pociągnął w stronę skał przy rozlewisku. Usiedli.

- Musimy stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Chciałem cię poprosić, abyś zrezygnowała z dotychczasowego życia i została ze mną, ale to nie byłoby w porządku. A może myślałem, że gdybym to zrobił, to ty poprosiłabyś mnie o to samo, a wtedy bym się nie zgodził. Pomyślałabyś, że to dlatego, że nie kocham cię wystarczająco i że nie jesteś dla mnie warta poświęcenia. Nie wiedziałem, co robić, bo przy twojej propozycji, gdybym jej nie przyjął, byłbym samolubem. I jeszcze sprawa Alany i mojej głupoty... Bałem się...

- Wiem, że nie jesteś samolubny i rozumiem, dlaczego nie chciałeś wyjechać ze mną do Teksasu albo pozwolić, żebym kupiła klinikę. Pokochałam cię za twoje poświęcenie dla ideałów, a nie za kompromisy. A jeżeli chodzi o Alanę, to wszyscy popełniamy błędy. Ja poślubiłam niewłaściwego mężczyznę. Potem pozwoliłam ojcu zapanować nad moim



życiem. Ale wierzę, że pomyłki powodują, że stajemy się lepsi, jeżeli tylko na to pozwolimy.

- Jeżeli dzięki nim czegoś się uczymy.

- Aha. Czasami bywamy zbyt uparci, żeby się do tego przyznać.

Kekoa - powiedział.

- Nie mam odwagi.

- Przyjechałaś, żeby pracować w klinice, prawda? Porzuciłaś wszystko?

- Żeby być z tobą. I pracować jako lekarz. Jeżeli pan dyrektor mnie przyjmie.

- Na pewno cię przyjmie. - Ujął ją pod brodę. - Zrezygnowałaś z pracy dla korporacji. To bardzo odważne.

- Ale boję się.

- Czego?

- Że mnie nie zechcesz albo że się nie sprawdzę jako lekarz. To wszystko jest takie nowe. Nigdy nie przypuszczałam, że to zrobię.

Bała się też, że ojciec nie dotrzyma obietnicy i wprowadzi zmiany w Kahawaii. Ufała mu, ale ojciec jest zmuszony kierować się dobrem korporacji.

- Chcesz wiedzieć, co jeszcze się zmieni? Dostrzegła filuterny błysk w jego oczach.

- Co? - zaciekawiała się.

- Po pierwsze, jeszcze tylko przez tydzień będziesz moją szefową.

O, to interesujące!

- Dlaczego?



- Ten telefon od twojego ojca... Kiedy uprzedził mnie, że wracasz, kazał mi też, żebym był dobry dla jego córki i się nią opiekował. I uczynił ją szczęśliwą.

- A ty powiedziałeś...

- Powiedziałem, że poświęcę na to życie. Odparł, że wie, że twoje szczęście po części zależy od kliniki. Nie rozumie dlaczego i niekoniecznie to pochwała, ale Constance postąpiłaby tak samo. I że w końcu go odmieniła. Nie wyjaśnił, co miał na myśli.

- Moja matka - szepnęła Susan. Kiedyś mu o niej opowie. - Co jeszcze mówił?

- Nieważne, co mówił, tylko co zrobił. Susan wstrzymała oddech.

- Sprzedał mi klinikę.

- Co? - Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Poprosiłem go o to.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Jeżeli połączy się moje wynagrodzenie szefa kliniki, dziesięciokrotnie wyższe od poprzedniego, i drugiego lekarza...

Powiedziałem, że spodziewam się spłacić go w ciągu pięciu lat. Do tej pory klinika będzie administrowana przez Ridgeway Medical, na obecnych warunkach. Umowa dotyczy tylko kliniki i małej działki. Ridgeway Medical zatrzyma resztę gruntu pod przyszłą budowę, ponieważ to on stanowi największą wartość. Wszystko teraz zależy o tego, czy znajdę lekarza, który zostanie moim współnikiem, bo sama moja pensja nie wystarczy. To najlepsze, co mogłem wynegocjować. - Na jego twarzy zagościł chłopięcy uśmiech. - Nie najgorzej, jak na człowieka bez doświadczenia w interesach.

- Nie mogę w to uwierzyć.



- Twój ojciec sprzedaje klinikę nam. Tobie i mnie. Musimy zarobić na nią jako praktykujący lekarze. To był także jeden z moich warunków.

Jeszcze bardziej kochała go za jego prawość.

- Ale pozostaje jeszcze kwestia mojego... majątku. Chcę zarobić z tobą na klinikę tak, aby była tylko nasza, ale to nie zmienia faktu, że nazywam się Ridgeway, a temu towarzyszą pewne sprawy, takie jak lojalność w stosunku do korporacji, mimo że nie jestem już jej pracownikiem. Będę musiała od czasu do czasu jeździć do Teksasu, uczestniczyć w posiedzeniach zarządu, podejmować decyzje. Bo tego nie zmienię. Jeżeli będziemy mieć dzieci, one też będą Ridgewayami.

- Zaczekaj! - Roześmiał się. - Widzę, że wszystko przemyślałaś. Nie jestem jednym z tych mężczyzn, którzy przejmują się tym, że żona jest bogata. Nie obchodzą mnie twoje akcje ani to, co masz w banku. A jeżeli od czasu do czasu pojedziesz do Teksasu, to będę za tobą tęsknił.

- Pewnego dnia to wszystko będzie moje. Będę musiała się z tym uporać, żeby kiedyś zostawić to moim dzieciom, naszym dzieciom. Nic na to nie poradzę.

- Ile?

- Ile czego? Dolarów?

- Dzieci. Lubię duże rodziny, szczególnie że żadne z nas jej nie miało.

- Jesteś tego pewien? Pragniesz przyszłości z całą armią Ridgewayów?

- Susan - odparł łagodnym głosem - kocham cię. Zamierzam spędzić z tobą resztę życia, ale nie mogę stąd wyjechać. Jesteś spadkobierczynią fortuny Ridgewayów. Musimy się z tym uporać, jeżeli chcemy być razem. Moje pytanie brzmi: czy jesteś pewna, że chcesz tu zostać? Ponieważ życie tutaj nie będzie przypominać niczego, co do tej pory znałaś.



- Rozumiem. Musisz tu pozostać, i ja też. Tego właśnie chcę: żyć tutaj i zostać prawdziwym lekarzem. Pracować w Kahawaii, mieszkać w twoim domku, w przyszłości kupić z tobą klinikę. Prowadzić proste życie.

- Jesteś pewna? Bo Ridgeway Medical...

- Da sobie radę beze mnie. Ojciec trochę ponarzeka, że nie ma mnie kto zastąpić, ale wie, że jestem podobna do matki i szanuje to. No i jeszcze jedno. Chodzi o 'Eleu. Ona potrzebuje rodziny. Ma wprowadzić dziadka i będzie spędzać z nim tyle czasu, ile to możliwe, ale to za mało.

- Załatwiłem, aby przeniesiono go bliżej, do Kane'ohe. Będzie miał dobrą opiekę. A dla 'Eleu dobudujemy pokój. - Już miał ją pocałować, ale się powstrzymał. - Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy u mnie zamieszkali?

- Uwielbiam twój domek. Ale skoro mamy dobudować jeden pokój, to może od razu zdecydujemy się na dwa?

- Dwa?

- Na wszelki wypadek. Po tym, co zaplanowałam na dzisiejszy wieczór, może się przydać. - Zebrała się w sobie i wypowiedziała wreszcie słowa, które ćwiczyła przez parę godzin. - *Ko aloha makamae e iop. E hoomau maua ke aloha. Ka honi mai me ke aloha.* Kochanie, jesteś cudowny. Niech nasza miłość trwa na wieki.

Grant, wzruszony jej słowami, pocałował ją czule.

- *Mau loa. Me ke aloha no kau a kau* - powiedział potem. - Na zawsze. Moja miłości, na całą wieczność. Jesteś pewna, że chcesz czekać do wieczora? Słyszałem, że tutaj, nad wodospadem 'Aka 'Aka, narodził się niejeden cud.



Dla niej to wszystko się zaczęło tego dnia, kiedy ujrzała najprzystojniejszego mężczyznę na świecie wchodzącego do wody z deską. Takiej pragnęła przyszłości - plaży, miłości, muszelek.

- Cud już się zdarzył. Ale jestem gotowa na kolejny.

- Otoczyła go ramieniem. - Czy możesz mnie bliżej uświadomić co do jego natury?

- Zaczyna się od kąpieli.

Uśmiechnęła się, uradowana jego propozycją, i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Czy tym razem możemy popływać nago?

